



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5.— Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.— w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Żałobne śluby (Wiersz).—Kilka nowszych niemieckich powieści, ze względu ich stosunku ze stanem społeczeństwa.—Korespondencja z Paryża.— Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński.—Wystawa wszechrosyjska w Petersburgu.—Przegląd teatralny.—Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie —O Ubiorach.

Żałobne śluby.

Stoi dziewczę nad wodami,
Drobne rączki składa,
Pierś kołysze westchnieniami,
I tak sobie biada:

Ludzie mówią, zem szczęśliwa,
Bo mnie bogacz bierze...
Ale nikt się nie odzywa
Czy go kocham szczerze.

Do kościółka wieńce stroją,
Na jutrzejsze śluby,
Znać że Boga się nie boją,
Znać pragną mej zguby.

Niechaj stroją, niech się spieszą,
Niech piosenki nucą,
Choć weseli, choć się cieszą
Mnie już nie nawrócą.

Nie nawrócą, nie zabawią,
Wesołość to męka,
Trumnę lepiej niech mi sprawią,
Bo aż serce pęka...

Gdzieś, gdzieś mój sokole,
Z jasnym jak skra okiem,
Gdzie to niebo na twem czole,
Z złocistym potokiem?

Przybądź, zerwij te ogniwa,
Jam tylko dla ciebie...
Ach! nie słyszy nie przybywa —
Może on już w niebie...

Sokoliku, mój ty kwiecie,
Pocóż ja ły sącę?
Jeśliś w niebie, to dziś przecie
Z tobą się połączę.

Cicho — cicho, ptaszek leci,
A na wód głębinie
Coś się bieli, coś się świeci
I spokojnie płynie...

Zmilkły śluby i wesele,
Jęczy dzwon na wieży,
A w trumience, a w kościele —
Martwe dziewczę leży....

Franciszek Gumowski.

KILKA NOWSZYCH NIEMIECKICH POWIEŚCI, ZE WZGLĘDU ICH STOSUNKU ZE STANEM SPOŁECZEŃSTWA.

Ileć przybywa nam z obczyzny jaki nowy utwór wyobraźni poprzedzony pewnym rozgłosem, utwór ten czy jest powieścią czy też poematem, obudza w nas dwojakiego rodzaju zaciekawienie. Jest to zarazem i dzieło sztuki i ustęp z dziejów ludzkości do oceny, — jedno bowiem z drugim jest tu w związku koniecznym. Czy też przybędzie coś do wspólnej skarbnicy z tych dzieł, które wywołały tyle sporów i pozyskały tyle oklasków? Czy się z nich wzbogaci czemkolwiek poezja? Takie rzuca pytanie krytyk, zaniepokojony niejednym groźnym objawem chwili obecnej, patrząc z zasmuceniem na schodzących już z pola mistrzów słowa, na wyczerpanie natchnienia, na wziętość będącą udziałem najskandaliczej utworów, podczas gdy szczupły zastęp pracowników wyższej idei walczy z coraz większą obojętnością ogółu. Byłoby to prawdą, że wśród przeróżnych zaprzątnień dzisiejszego życia społecznego, nie ma już dla umysłu innej rozrywki, jak rozweselająca błahostka lub jaskrawy skandal? Ale może też w tych utworach mających w sąsiednim kraju powodzenie, dojrzymy jakie oznaki odmłodnienia, może nam gdzie zabłyśnie jaki promień wśród ogólnej pomroki. A gdyby i tak nie było, gdyby żadna z tych książek nie odpowiedziała naszym nadziejom jako dzieło sztuki, to i tak jeszcze, jak to powiedzieliśmy wyżej, godne one będą uwagi ze względu na ich bezpośredni stosunek z dziejami i ze stanem obecnego społeczeństwa. Znajdziemy w nich niezawodnie świadectwa i dowody, choćbyśmy arcydzieł nie znaleźli. Weźmy się zatem do pracy i spróbujmy przepatrzyć obrazy wyszłe ostatnimi czasy z pod pióra celniejszych powieściopisarzy owych Niemiec, niemniej dziś od Francji mających do czynienia z wielkimi a groźnymi zagadnie-

niami dziewiętnastego wieku. I tam, równie zażarta choć na innym polu i w innej postaci, toczy się walka dwóch przeciwnych zasad, wydierających sobie nawzajem dzisiejsze społeczeństwo, walka dawnego ustroju z duchem nowożytnym, walka prawa z siłą, usłużnego zabobonu z krańcowym fanatyzmem. Wrażenia podobnego stanu rzeczy musiały koniecznie oddziaływać na współczesnych malarzy niemieckiej społeczności. Zład ciekawem będzie studjowanie wzorów, które sobie obrali, oraz sposobów którymi zdolali obudzić zajęcie czytelników i zdobyć rozgłos w swym kraju. Bliższe tego rozpatrzenie dowiedzie nam może dokładniej, do jakiego stopnia dzieje literatury nadobnej, bywają zawsze związane z dziejami politycznymi i społecznymi każdego narodu.

W tym celu wypada koniecznie wziąć pod rozbiór utwory, które w swym kraju najwięcej miały powodzenia, powodzenie ich bowiem jest rękojmią że się w nich poznało społeczeństwo. Wybór tu, już z powodu obfitości materiału, niemało trudnym będzie. Biorąc tylko te lat kilka, w ciągu których wypadła słynna rozprawa pod Sadową, ileż to znajdziemy pojawiających się w Niemczech powieści, natchnionych silnymi wrażeniami owiej epki. Jeśli prawda to co powiada Gete, że powieść jest nowożytną epopeją, to znajdziemy w niemieckim powieściopisarstwie najdokładniejsze dzieje dzisiejszej cywilizacji. Nie ma przedmiotu któregoby tam nie dotknięto, kwestji której by nie obrabiano, nie ma warstwy społeczeństwa, którejby nie zbadano, ani zadania z dziedziny uczucia lub ducha któregoby nie usiłowano rozwiązać, tak iż śmiało rzec można, że zbiór niemieckich powieści, mógłby utworzyć rodzaj encyklopedji całkiem w sobie zupełnej.

Pierwszy przykład owego znakomitego rozszerzenia zakresu powieści, daje nam wkrótce po wypadkach 1848 roku, Gutzkow, ostatni już pozostały szermierz *Młodych Niemiec* z r. 1830. W r. 1851 pośród namiętnych wzruszeń owiej epki, ukazuje się dziełciotomowe jego opowiadanie pod tytułem: *Rycerze Ducha*, posiadające takie rozmiary, jak i poniekąd charakter epopei. W siedem lat potem, w posępnych chwilach sennego odrętwienia, które nastąpiło po gwałtownych wstrząśnieniach lat poprzednich, widzimy go znowu malującego ogólny stan Europy w obrazie, w którym dążności ultramontańskie głównie są uwydatnione (*Rzymski czarodziej* r. 1858). Daleko już później, w zakresie tych kilku lat których plon duchowy zamierzamy ocenić, ukazuje się nowa powieść Gutzkova pod nazwą: *Hohenschwangau*, tąrazą za cel sobie obrał autor odworowania Niemiec z czasów reformy. Jakbądź uznajemy zalety tego utworu nie

wchodzi on w zakres tego rozbioru, już przez to samo że nie współczesną ale dziejową jest powieścią. Powiemy tu nawiasem, że ten ostatni rodzaj mniej dziś w Niemczech znajduje zwolenników, albowiem rzeczy i postacie współczesne najwyższe i prawie wyłączne obudzają tam zajęcie. Z tych co prawda, każda skrętnie użytkowano. Dostyc powiedzieć że nawet dla teorii Darwina nie zbrakło pisarza, który w niej poszukiwał treści do swego utworu. Pisarzem tym jest Robert Byr; świeżo wydana pięciotomowa powieść jego: *Walka o istnienie*, dowiodła że w każdym przedmiocie zdolny artysta potrafi znaleźć sposobność uwydatnienia wysokich zdolności stylowych, a nawet obudzenia najwyższego w czytelniku zajęcia.

Pomiędzy temi nieco dziwnymi usiłowaniami początkującego powieściopisarza, a chciami rozgłosu utworami Gutzkowa, znajdzie się jednak miejsce na opowiadania zalecające się większą prostotą; temi też zajmujemy się wyłącznie, bo nam one oddadzą tętno życia tego społeczeństwa, które pośród wrzasków swoich szukało w nich osłody i rozrywki. Mała liczba pisarzy wystarczy nam na dzisiaj do dostarczenia potrzebnych wyjaśnień i dowodów. Pierwsi których sobie obieramy, Berthold Auerbach i Lewin Schuking, dziś w sile wieku i uzdolnienia, pozyskali już uznanie ogółu nie jednym utworem niezaprzeczonej wartości. Są to przedstawiciele perjodu, który w literaturze poprzedził r. 1848. Oprócz nich, zajmujemy się jeszcze dwoma nowszymi powieściopisarzami, których dzieła, i nazwiska dotąd mało są znane. Pierwszy z nich Fryderyk Spielhagen, obdarzony wyobraźnią ognistą, ale zarazem bystry badacz serca ludzkiego, maluje nam byt dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego z żywym uczuciem poety, ale i z subtelną przenikliwością psychologa. Dramatyczna fantazja kojarzy się u niego z goryczą ironji, a przedewszystkiem uderza w nim chaotyczna może nieco potęga wyobraźni, nie wykluczająca jednak trafnego i nieraz bezstronnego poglądu na owe zapasy i walki które nam przedstawia. Obok niego, postawimy Hermana Grimma godnie dziś podtrzymującego sławę nazwiska swój rodziny; — przedstawia on nam zdolności równie cenne, jakkolwiek innego już całkiem rodzaju. Jest to duch trzeźwy, umysł bezstronny, ale nie chłodny, tylko bardzo sumienny którego utwory zalecają się wdziękiem nie samymi tylko pięknościami stylu pozyskanymi. Wiele też i tu poniekąd przypomina nam Herman Grimm swego ojca, słynnego w Niemczech filologa, oraz rozgłosnej sławy stryja Jakóba; rzekłbyś nieraz że wniosłe dusze owych tyle poważnych mistrzów odżyły w szlachetnym natchnieniu młodego powieściopisarza. Ale czas już wreszcie przystąpić do bliższego ocenienia utworów, któreśmy sobie na dzisiaj obrali, bez wątpienia sumienna praca krytyka, dopatrzy się tu nie jednego szczegółu mogącego kiedyś wzbogacić dzieje współczesne.

d. c. n.

Korespondencja z Paryża.

Śmiało rzec można iż obecnie Francja wchodzi w nową erę odrodzenia dobrego smaku w literaturze.

Ostatnimi czasy beletrystyka francuska we wszelkich swoich objawach w romansie, na scenie, w poezji, szła ruchem wstecznym i coraz szybszym do najsmutniejszego upadku. Upodobała sobie w zgniliźnie, w brudach i skandalach, — w krawcowych swoich wybuchach rzucała się zawzięcie do podkopywania, do burzenia zasadniczych podstaw społeczeństwa, wszelkich jego spójni, rodzinnych węzłów, karbów prawa i moralności. W najlepszym razie stroiła się w jaskrawe błyskotki formy, w wyszukane frazesy, w styl upstrzony różnobarwnymi kwiatkami, w szych pokrywający lichotę metalu, cześć treści pustyj i jałowej.

Na gruncie tak żyznym i uprawnym jak dzisiejsza publiczność, zasiew przyjmuje się łatwo: bujnie się rozrastały chwasty i kłakołe zdrowe ziarno przygluszone zaledwo gdzie niegdzie kiełkowało. Pisarze schlebając skazonemu smakowi we własnych widokach, karmili coraz lichszą strawą i zepsucie gustu szerzyli: obie strony wpływając wzajem na siebie popychały jedna drugą na dół, coraz niżej... aż nareszcie napotkały reakcję.

Przygotował dla niej pole ogólny przesył i niesmak.

Pomalu z salonów i buduarów przeniosły się *Damy Kameliowe* do przedpokoju i garderoby. Liczne dzienniki z *Historjami o zbrodniach d'Orcival'a i Nowemi tajemnicami Paryża* zagościły wyłącznie w izdebce odziernego i do sklepiku przekupki. Dalej sarkanie dało się słyszeć tu i owdzie, i coraz jawniej i głośniej. Jeden z ulubionych Paryżanom dzienników zaczął wydawać ciekawą, lecz skandaliczną powieść, i cofnąć ją musiał zląkszy się o swoją popularność, którą na szwank naraził obudzeniem potępiającego tę dążność krzyku.

Ostateczny kres złemu położyć mogło przecknienie sumienia piszących. Zdrowa krytyka podniosła głos potężny w imię dobrego smaku i w imię zagrożonej moralności powszechniej. Gdy silna ta władczyni wyplenia chwasty, nowi siewcy skwapliwie spieszą z dobrem ziarnem i dobry znać grunt znajdują bo na plony nie czekają długo. Żniwo ich, to ten pośpiech ogółu do nowego towaru, i poklask gorący a szczery. Taka zachęta silnym bodźcem do rozgałęzienia usiłowań.

Nie dosyć puszczać w obieg dobre utwory, potrzeba jeszcze bardziej nauczyć należytego ich oceniania, rozjaśnić poczucia prawdy, dobra, piękna. To jest zadaniem głównem krytyków, i przynależnie trzeba, przez większość sumiennie dziś spełnianem.

Sztuka drukarska szeroko i daleko roznosi pojęcia i myśli, lecz żywe słowo silniej wdraża się w umysł, łatwiej wywoła drgnięcie wszystkich sprężyn uczucia. Obok więc tej pierwszej drogi dobrej woli, krytyka rzuciła się tłumnie i na drugą i taką jest w wielkiej części wybitna dążność owęj niezliczonej prawie mnogości mów i odczytów, jakie codziennie na wszystkich punktach Paryża usłyszeć można.

Na drodze tej najprzeważniejszą rolę mają teatry. I czemże ostatnimi czasy stała się po największej części scena paryzka? Myśl, usuniętą na nią została na ostatnie miejsce a na pierwszym to tylko pozostało, co zmysły olśniewa, odurza, dekoracje, kostiumy maszynerje i tańce. Przedewszystkiem więc w samych teatrach usadowiła się krytyka, zwołując na poranki literackie publiczność już przesyconą wieczornymi przedstawieniami. Czy z umysłu wybrano na początek dwa teatry *Gaité* i *Châtelet*, które najgłośniej ściągają zawsze widzów na te saturnalia plastyki? Od początku zimy tegorocznej w obu tych teatrach, mają miejsce co niedziela popołudniu przedstawienia najlepszych tragedji, dramatów i komedji z przeszłych epok, poprzedzone rozbiorem krytycznym, przez którego ze znakomitszych literatów w celu wtajemniczenia publiczności w każdą pięknosc, w każdą myśl wyższą jaką utwór w sobie zawiera, a których poczucie już się było zatraciło wśród modnych conceptów i figli.

Takimi to środkami ogół wciągnięty zostaje w prąd postępu literackiego, w myśl zdrową i poważną wyswobodzoną z sidła szarlatanerii pisarskiej. Starsze umysły trzeźwią się z pijanego odurzenia, młode wznoszące pokolenia nawykają do czerpania światłości i głębokiej nauki nawet w zabawie, w słuchaniu świetnych arcydzieł jakie nam w spuściznie przekazały geniusze przeszłości lub którymi nas darzą znakomite współczesne talenta.

Ta reforma intelektualno moralna, ten sposób popularyzowania najwyższych piśmiennictwa pldów, powodzeniem swoim odpowiada wielkości celu. Pomimo tylu zabaw niedzielnych wszelakiego rodzaju, tłumy zbiegają się na te uczty umysłowe: pełne są wszystkie bez wyjątku sale odczytów i konferencji, choć ich w ten dzień kilkanaście otwartych nie licząc w to wieczornych. Na poranki literackie w teatrach trudno się docisnąć, zwłaszcza gdy na afiszu stoi nazwisko uprzywilejowane. Ostatniej niedzieli tysiąc osób odeszło nieznalazszy już miejsca w teatrze *Gaité* gdzie Francoisque Sarcey komentował jedną ze sztuk Moliera. Nie jest to mówca pierwszorzędny lecz gawędziarz pełen dowcipu i oryginalności. Słowo jego życia niby lekkie a przecież głęboko trafiające w myśl utworu i w pojęcie słuchaczy, sprawia wrażenie silne i zawsze korzystne.

Teatr *Ambigu-Comique* pozazdrościł dobrego pomysłu kolegom, i otwiera podwoje swego przybytku do nauczającej a ulubionej dziś zabawy. Konkurencja nie przestrasza przedsiębiorców, ludności paryskiej nie zabraknie, nie ubywa tłumów w jednej sali choć drugą i dziesiątą otworzą, i ciekawym widowiskiem gości do niej przynęca.

Odmienną nieco noszą cechę niedzielne i literackie poranki w teatrze *Cluny*, urządzone od kilku miesięcy

już nie przez dyrekcję teatru, lecz przez *Towarzystwo literatów*. Sceniczne utwory nie mają tu wyłącznego przywileju. Mowy i odczyty traktują o wszystkim, wszelka literatura, nauka, historia, teatr, romans, poezja, mają swoje organa. Nowo występujące talenta dają tam poznać ustępy ze swoich utworów zanim na świat wyjdą, mało znane lub źle pojęte a istotną wartością zalecające się dzieła krajowe i obce, wychodzą na widok publiczny w rzeczywistym swoim świetle, otrząśnięte z pyłu zapomnienia, obmyte z pleśni przesądów. Towarzystwo to w najszerszym znaczeniu eklektyczne, wszelkie opinie, barwy, odcienia, wszelkie zasady idą tu ręką w rękę nie obrażając się wzajem: to prawdziwa rzeczpospolita literacka. Każdy ze słuchaczy znajduje zajęcie po swojej myśli i wedle swojego upodobania, zwłaszcza gdy na każdym niedzielnym posiedzeniu kilka głosów z kolei czyta i mówi.

Obok celu prostowania i rozjaśniania sądu i smaku, prawie wszystkie dzisiejsze mowy i odczyty mają jeszcze na widoku jakieś drugie zadanie nie mniej ważne, niemniej do ogólnego skierowane dobra. Z małym bowiem wyjątkiem są one dziełem licznych Stowarzyszeń filantropijnych zawiązanych już to dla skutecznego niesienia materialnej pomocy potrzebującym, już dla szerzenia oświaty i nauki. Pojedyncze szczere usiłowania niejednokrotnie cuda zdziałały: czegoż się nie można spodziewać po zbiorowych? Nigdy tak silnie pocztą nie była wielka prawda belgijskiej dewizy, którą dziś miłość bliźniego za sztandar przyjęła i pod tem godłem idąc, ułatwia sobie i skraca drogę do świętych celów. Mnóstwo zatem istnieje stowarzyszeń wzajemnej pomocy, które około miliona jednostek w krytycznych podpierają razach. Mnóstwo także znajduje się innych, których głównem staraniem danie sposobności kształcenia się niezamożnym, zakładanie szkół fachowych, ułatwienie najuboższym rodzinom posyłania dzieci do szkoły początkowej. Te są wprawdzie bezpłatne, lecz brakuje nieraz na ubranie, na obuwie dla ucznia, często pomoc jego w domowej robocie niezbędna: tym więc wszystkim trudności czynne miłosierdzie stara się zapobiedz. Dla starszych robotników mnóstwo jest bezpłatnych naukowych wykładów wieczornych. Na inne zaś mowy i odczyty dla ogółu publiczności płatne są wejścia, i dochód przeznaczony na wyżej wymienione cele lub na inne tamtym doniosłością wyrównywające. Od tej obywatelskiej i chrześcijańskiej posługi nie uchylają się pierwszorzędne znakomitości nauki i piśmiennictwa. Znaczna zaś część ludności biegnąca na szlachetną zabawę, wie że ucząc się sama składa na ołtarz ludzkości grosz, który stokrotnie procentuje w oświacie i pomyślności całego narodu. Bywało to już i w przeszłych latach, ale nigdy na tak szeroką skalę jak dzisiaj. Radzi jesteśmy podzielić się wiadomością o tak olbrzymim postępie w dobrem, bo jeżeli nieraz skarżyliśmy się na zarazę szerzącą się z kraju do kraju, jeżeli niejedna zgnilizna paryzka zapowietrzyła naszą atmosferę, tuszujecie sobie możemy iż z tego powszechnego ogniska, święte i jasne promienie z równą łatwością przedrą się na zewnątrz i zaświecą daleko. A niewiele byłoby chwil takich jak obecna, w której inne miasta mogły słusznie powiedzieć: „Czemu nie mieć z Paryża tego co tylko Paryż sam jeden posiada?”

Dochód z opłaty wejścia na poranki literackie w *Cluny*, wzbogaca kasę *Towarzystwa literatów*.

Dawnymi czasy pisarze i uczeni znajdowali mecenasów na dworach monarszych i pańskich. Nie był to wszakże stan tak bardzo zaszczytny i godzien zazdrości. Dziś im pozostał protektor najpotężniejszy: publiczność. — Tu przekupstwo trudniejsze i niechybna kara stoi tuż przy występku. Udają się czasem spekulacje na chwilowe upodobania ogółu ale nie na długo. Pomijając te wyjątkowe przeniewierstwa względem obowiązków zawodu pisarskiego, wyznać wszakże trzeba, iż sumienni pracownicy na jakimkolwiek polu nauki lub piśmiennictwa nie zawsze znajdują się w odpowiednich warunkach materialnych by mózż stawić czoło nieprzewidzianym klęskom choroby, niedołęztwa, starości. Stowarzyszenie literatów zawiązało się w celu zawiązania temu stanowisku niezawisłości, o ile można od czyich bądź wpływów, za pośrednictwem wzajemnej pomocy, a do ich wspólnej kasy udzielającej w potrzebie pożyczek wsparcia i emerytury, publiczność dorzuca swój nadatek w zamian za ofiarowaną sobie przyjemność i pożyteczna naukę.

Urządzenie podobnych poranków zawdzięcza publiczność zabiegom sekretarza towarzystwa p. de

Lapommeraye, który zachęcany powodzeniem, stara się jeszcze o otwarcie bezpłatnych wieczornych odczytów najlepszych utworów piśmiennictwa dla robotniczej klasy, i dowiadujemy się że również szczęśliwym skutkiem uwieńczone zostały szlachetne jego staranie. Streszczenie jednego z takich poranków przyłączam. (1)

J. Krajewski.

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr Spielhagena

przełożył z niemieckiego Michał Głiszczynski.

(Dalszy ciąg.)

I teraz byłem samotny w mojej izdebce w niewykończonym domu, wśród ruin zaledwie zaczętych budynków. Żaden hałas nie dochodził do mnie z miasta kiedy siedział nad moimi książkami, tylko jakiś daleki szum jakby wzburzonego morza, albo wesołe szczerkanie pudła, towarzysza mojego przyjaciela stróża, dolatywały mojego ucha: w nocy zaś grobową ciszę przerywał czasami przemysłny pudel, który się po całym placu za kotami uganiał.

Nie zważałem na to co Klaus wygadywał na mój pokój, bo miałem tam dwa przedmioty, które kiedyś się mógł od książek oderwać, były dla mnie niewyczerpanym źródłem błogich wspomnień i serdecznych wzruszeń. Dwa malakitowe wazony i kopja z Sykstyńskiej Madony. Kiedy nowy Dyrektor nastąpił, zabrano je z mojej celi, ale po wysiedzeniu kary, dopominałem się o nie z taką natargowatością, że mi je oddano. Zapakowałem je starannie i oddałem znanemu komisantowi, żeby mi natychmiast odesłał jak mu wskażę miejsce. Właśnie dziś rano paczka nadeszła i wazony i Madona rozjaśniły i umiły samotną moją izdebkę.

Patrząc na te przedmioty, serce mi się krajało z żalu, że dotąd nie odwiedził najdroższej mojej przyjaciółki, chociaż wiedziałem że od kilkunastu już dni znajduje się w Berlinie. Było to zupełnie przeciwnem mojej naturze, zupełnie przeciwnem porzywom mojego serca ku tej, z którą tyle lat razem przeżyłem i o której przyjaźni i życzliwości dla mnie byłem najzupełniej przekonany. Ale od czasu naszego rozstania, niepisywaliśmy do siebie, bośmy się umówili że tylko w nagłych bardzo razach zgłosimy się do siebie. Takie postanowienie powzięliśmy wówczas, kiedy nowy dyrektor i kapelan Lügner, podła para, okazali tyle swoimi podstępami skargami, że mi karę na sześć miesięcy przedłużono: napisałem więc o tem zaraz do Wandy, na co mi dwa tylko wyrazy odpisała: cierp mężnie!

Ale ta zimna odpowiedź chociaż mię zmartwiła, nie była jedynym powodem do tego, że dotąd jeszcze nie był u Wandy. Wiedziałem ile ta dobra i energiczna dziewczyna ponosi starania dla swoich i dla siebie.

Ciągle myślałem o tem żeby jak najprędzej dojść do takiego położenia, żebym mógł jej użyć tego ciężaru. A teraz, kiedy może najwięcej potrzebuje przyjaciela i opiekuna, czyż ośmielę się stanąć przed nią biedny i bez żadnej dla niej pomocy. A z resztą, czyż jestem pewny że przyjmie moją pomoc? Czyliż nie miałem tysiące dowodów, że nigdy nie od nikogo przyjąć nie chciała, bo niezależność osobistą wyżej nad wszystko kładła. Czyż tyle razy a szczególnie przy rozłączeniu nie powiedziała mi wyraźnie, że gdyby kiedykolwiek potrzebowała pomocy nie do mnie się po nią uda?

Podług psychologicznych kombinacji, przyszedł mi znowu na myśl ostatnie dni mojego pożycia z Wandą i jej rodziną. Nie wiele ich było, bo napierano ustawicznie na panią Zehren, żeby następcy swojego męża oddała jak najprędzej mieszkanie. Następcą tym był dymissionowany major, faworyt pietisty prezydenta: oddawna czekał on na to miejsce i z oburzającym brutalstwem bez żadnego względu na niešťęśliwą rodzinę wyrzucił ją z mieszkania dyrektora. Nie pozostało dla niej nic innego jak: albo po-

mieścić się w trzech więziennych celkach, które pan major wspaniałomyślnie im ofiarował, albo się wynieść do brudnego hotelu w mieście. Pani Zehren nie wahała się ani na chwilę i w trzy dni po śmierci męża a mojego dobroczyńcy, już w owym domu gdzie tak długo mieszkali, żadna znajoma twarz nie pozostała. Ani jedna nawet doktor Snellius, kiedy był nowemu dyrektorowi przedstawiony, wypowiedział mu swoje przekonania krótko a węzłowato, a kiedy doktor mówił tym sposobem do kogo którym pogardzał, to można było być pewnym że ta mowa będzie jasną i zrozumiałą dla tego, do kogo była skierowaną. Za doktorem w ślad poszedł i stary wachmistrz, a chociaż głos starego był o jakie dwie oktawy niższym od głosu doktora musiały być jednak melodie które oba nucili bardzo do siebie zbliżone kiedy wydały jednakowy rezultat: to jest że pan major wściekał się ze złości tupał nogami i rozkazał impertynentowi wsadzić do lochu. Na szczęście stary był dosyć przezornym że zażądał wpróż dymisji i miał ją już w kieszeni, a tak pan nowy dyrektor musiał się kontentować groźbami, które znowu wachmistrza Zismicha nie a nie nie przerażały.

Z jaką radością byłbym poszedł za ich przykładem i podrapał odrobinę serce nowego dyrektora! Nigdy nie odniosłem nad sobą tak wielkiego zwycięstwa jak wtedy, kiedy na miejscu najszlachetniejszego człowieka zobaczyłem tego pajaka i jaszczurkę. Możliwym był inie przemógł siebie i popadł w ciężkie nieszczęście, ale słysząc ciągle jakiś głos, który mówił do mnie. Tyleś już wycierpiał mój Jerzy, to zniesz jeszcze i to, chociaż najtwardsze, a jeżeli byś czuł że ci już sił brakuje, wezwij na pomoc ducha tego, który cię jak syna kochał.

Grzebałem znow w książkach ale nie mogłem dzisiaj najprostszych rzeczy zrozumieć. Algebraiczne formuły układały mi się w ten sposób: jeżeli mię kochał jak własnego syna a ona była jego najukochańszym dziećciem, to ja i ona powinniśmy się także kochać. Albo tak się ma Wanda Zehren do Herminy Steber jak Jerzy Hartwig do X.

— Czy pan będziesz całą noc świecę palił? burknął z dołu głos mrukliwego stróża — już pierwsza, a masz pan wstać o piątą.

ROZDZIAŁ II.

W jednym z licznych warsztatów w naszej fabryce przez pęknięcie rzemienia od maszyny, kilku ludzi mniej więcej ciężkie poniosło rany. W naszym warsztacie dowiedzieliśmy się o tym wypadku przed samym obiadem, wychodzący robotnicy zebrał się na dziedzińcu, żeby się o szczegółach dowiedzieć. I ja zbliżyłem się do jednej grupy a w tem ujrzałem jakiegoś małego człowieka, z kapeluszem w ręku preciskającego się między robotnikami. Ogromna łysa czaszka wypływała tu to tam między czarnymi postaciami, jak księżyc w pełni kiedy płynie na czarnych obłokach. Ta księżycowa czaszka nie mogła należeć tylko do jednego człowieka, pobiegłem za nią spiesznie, dognąłem ją na ulicy i wyprzedziwszy o jeden krok odezwałem się.

— Za pozwoleniem panie doktorze!

Podniósł głowę i przez swoje wielkie okulary wpatrywał się we mnie z najżywszem zadziwieniem.

— To nie jest żadna halucynacja, panie doktorze! To ja jestem rzeczywiście!

— Jerzy, mamucie, człowieku, z kąd się tu wzięłeś i to w tak ciekawym kształcie?

— Cicho panie doktorze! Jestem tu incognito, dla tego nie mogę sobie pozwolić tej przyjemności, żeby pana z całego serca uściskać.

— Ale nie uciekłeś przecie?

— Nie!

— Dzięki Bogu! a raczej dzięki mnie lub tobie. Jakże ją znalazłeś?

— Nie widziałem jej jeszcze.

— A już jest dwa tygodnie w Berlinie! To wstyd! to hańba! Gdzie jest moja latarnia? Niech ją rozbije bo już straciłem nadzieję że znajdę choć jednego człowieka! Idź precz! Nie chęć cię więcej widzieć!

— Kiedy mogę przyjść do pana panie doktorze?

— Kiedy chcesz, lub kiedy mozesz! Chociażby dziś wieczór, he? Szklanka groku, pół na pół, po dawnemu.

Rzeczywiście, tego samego wieczora, w mieszkaniu doktora siedzieliśmy oba przy szklance groku i gawędzili jak dwaj starzy przyjaciele, którzy się już dawno nie widzieli. Opowiedział mi o swojej

dramatycznej scenie z nowym dyrektorem, jak się do nich przyłączył ksiądz kapelan i jak obu tym panom głośno oświadczył, że chociaż powiedziano jest w Piśmie że trzej stanowią radę — i res faciant collegium — ale on za nic w świecie nie chce z nimi należeć do rady i dla tego ma zaszczyt na zawsze ich pożegnać. Ja znowu powiedziałem doktorowi, że teraz dopiero pojąłem przyczynę, dla czego mię później kapelan z taką zawziętością prześladował.

— Mylisz się mój drogi! Gadzina ta miała inne i lepsze powody do kłaniania cię swoimi jadowitemi zębami. Mogę ci to teraz powiedzieć, bo się nie boję już żębyś karku nie nakręcił tej poczwary. Słuchaj więc, ale wpróż zrób dwie szklanki groku, bo o takich rzeczach ani mówić ani słuchać nie można spokojnie. Otóż od dawna on już krzywo na ciebie patrzył za Wandę. Już raz oświadczył się o nią ale mu odpowiedziano że za młoda. Gadziny są zwykle cierpliwe czekał a jadem pryskał na ciebie. W czasie żalu, zamieszania i kłopotów po śmierci naszego niedołężowanego przyjaciela, oświadczył się drugi raz, dając do zrozumienia, że nowy dyrektor jest jego przyjacielem a pan prezydent jest jego stryjem, że dla tego przy pomocy takiej ma w ręku szczęście Wandy i jej rodziny, bo prawa pani Zehren do emerytury były bardzo wątpliwe. Ale się to da zrobić, nie ma i on wprawdzie majątku ale przy takich stonsunkach, może zająć wysoko a przynajmniej mieć zyskowne miejsce. Jak ci się to podoba? zapiał doktor wyprawiając po pokoju najśmieszniejsze tańce.

Opowiadanie doktora obudziło we mnie wstęt i oburzenie. Nie domyślałem się nawet tego, żeby ten chytry świętoszek aż do Wandy oczy podniósł, przykro, mi się zrobiło, że może nieraz jeszcze będę tak niedomyślnym. Wpadłem w głęboką zadumę ale doktor, przez swoje duże okulary, dojrzał moje frasobliwe myśli bo się zaraz odezwał.

— Widzę jak na dłoni co myślisz. Wanda bez wahania się odrzuciła kapelana, bo serce jej posiadał kuzynek podchorąży. Mówiliśmy o tem z sobą już nieraz, ale to głupstwo, niedorzeczność! Wanda tyle myśli o tym mundurowym Adonisie co o mnie starym satyrze.

Usłyszawszy te wyrazy nie mogłem się wstrzymać od głębokiego westchnienia i prawie głośno powiedziałem: dzięki Bogu!

Doktor patrzył na mnie z pod oka i śmiał się po swojemu.

— Nie ciesz się zawczasu, mówił dalej a wzrok jego i uśmiech stawał się coraz więcej diabelskim. Nie trzeba chwalić dnia przed zachodem słońca; nieraz ci już mówiłem że między ludźmi wszystko jest możliwem. Artur rzeczywiście jest czarującym chłopcem, a ponieważ udało mu się weisnąć na drogę dyplomatyczną, to może tak dobrze zostać kiedyś ambasadorem jak każdy inny. Intrygą i podłością można zająć daleko, a oba, szczególnie stary, posiadają tę sztukę w wysokim stopniu. Nikt się im nie potrafi wykręcić. Powiadam ci, ścisnąj dobrze kieszenie kiedy tego szlachciurę spotkasz na ulicy.

— Czy i on tu jest?

— Naturalnie. W stolicy obszerne pole, a wielcy mężowie jak pan radca skarbowy, potrzebują obszernego pola.

— Na co my tyle rozprawiamy o takiej brzydocie? Opowiadaj mi pan raczej o niej! Co ona robi? Jak się jej malarstwo powodzi? Czy zrobiła wielkie postępy? Czy ma kupców na swoje obrazy?

— Czy ma? zawołał doktor. A do tysiąca... pełno ich ma, zrobi prędko majątek, wyrwają sobie jej prace.

— Panie doktorze! zdaje mi się że przedmiot ten nie kwalifikuje się do żartów.

— Masz słuszność. Nie był to żart ale kłamstwo, ale widzę że i kłamać nigdy się nie nauczy. Wolę ci prawdę powiedzieć a raczej pokazać. Chodź!

Zapalił dwie świece, stojące obok lustra i zaprowadził mię do przyległego pokoju gdzie na ścianach wisało kilkanaście mniejszych i większych obrazów.

— Zniosłem je tu wszystkie bom się bał o nie przy jej braciach. Jakże ci się wydają?

Wszystkie obrazy były ręki Wandy. Jedne już wykończone drugie dopiero naszkicowane. Kilka z nich widziałem już w więzieniu: kopje głów, scena w więzieniu i nad brzegiem morskim. Nie znałem się bardzo na malarstwie a tem mniej nie umiałem wydać sądu o utworach tego rodzaju. Mogę jednak tyle powiedzieć, że dojrzałem znaczny postęp w pracach Wandy tak w technice jak w pomysłach i wykonaniu, szczególnie głowy. Usłyszawszy mój sąd,

1) Damy go w następnym numerze.

doktor przechylił głowę, to na jedną to na drugą stronę, wreszcie pełen dumy ze swojej protegowanej, odezwał się.

— Masz zupełną słusność! Jest to geniusz! ale co pomoże genialność temu co nie ma nazwiska? Świat, mój przyjacielu jest bardzo głupi. Znajdzie on wielkość i piękność, ale wtedy dopiero, kiedy mu je pokażą jakie wielkie umysły, kiedy studenci wiedzą już o nich, kiedy wróble swiergotają już o nich na dachu. Ale kiedy panom krytykom przychodzi mówić o autorze, o którym jeszcze nie słyszeli — o malarzu, który się pierwszy raz pokazał, nie wiedzą jak zacząć a najczęściej łatką im przypinają. Jak to długo obrazy te wojażowałyby po różnych wystawach albo wisiały u handlarzy, gdybym je był na tę drogę rzucił. Wszystkie są u mnie a dobra Wanda myśli że pojechały do Ameryki, do Anglii lub do Francji. Nie patrz na mnie z taką zazdrością! Moja rola mecenasa nie długo trwała. Ostatni jój obraz, przedstawiający Ryszarda Lwie serce, kiedy leży chory w namiocie, pielęgnowany przez doktora araba, podobno ty nawet figurujesz na nim, kupił radca handlowy. Co mię tam więcej zadziwiło, że się tyle zna na malarstwie co ja na robieniu pieniędzy; a podmówiłem Wandę żeby wysoką cenę naznaczyła. Wiesz że żem już nie potrzebny.

Wróciliśmy znowu do pierwszego pokoju i usiedli przy stole za szklankami grogu. Na twarzy doktora osiadła jakaś smętna troska, którą chciał koniecznie odpedzić mocną dawką araku a ja siedziałem zamyślony. Wiadomość że radca handlowy kupił obraz, nie wiem dla czego biegła mi ciągle po myśli. Że był najzupełniej obojętnym na to wszystko, co się sztuką nazywa, wiedziałem już od dawna; a że nie nabył obrazu dla jakichś familijnych względów, to było więcej niż pewnem. Zdawało mi się, że w całej tej sprawie musiała mieć większy udział córka niż ojciec, a kiedy mi się to przypuszczenie coraz prawdopodobniejszym stawało, krew coraz bardziej biła mi do głowy. Odetchnąłem silnie i zapytałem się doktora:

— Czy król Lwie serce zachował podobieństwo...

— Z tobą? Nie żenuj się! Właśnie ten jeden zarzut robię temu obrazowi, że Wanda namalowała twarz taką jaką była, myślała że król już gotów. Zrób mi tę łaskę, nie bierz tego na swój rachunek ale na jój brak twórczości.

— Zdaje mi się, że jeszcze nie dałem panu powodów do sążenia że jestem zarozumiałym.

— Czy nie, to Bóg jeden wie! Dawniej jako święty, dziś jako król Ryszard Lwie Serce przejdiesz do potomności.

— Mówisz pan do mnie z taką goryczą, jakbyś był nie kontent ze mnie.

— Tak jest! Jestem nie kontent! Co to znowu za romansowa idea napadła na ciebie, żeby się utrzymywać z pracy rąk, kiedy możesz żyć z głowy. Czy wiesz mój panie, że zgasił nasz przyjaciel, przed samą prawie śmiercią powiedział mi, że masz ogromne matematyczne zdolności, że mógłbyś być nauczycielem matematyki w gimnazjum w wyższych klasach? Może mi odpowiesz jak ów krawiec odpowiedział księciu Taleyrandowi: il faut vivre, i że czeladnik kowalski prędzej sobie zarobi na dobre życie niż nauczyciel gimnazjum? Może być! Ale czyż nie masz przyjaciół którzyby ci dopomogli? Dla czego się zaraz do mnie nie zgłosiłeś?

Napróżno starałem się przekonać go, że nie z potrzeby, ale z przekonania wszedł na tę drogę. Nie chciał słuchać tego usprawiedliwienia się.

— Po co silisz się robić z potrzeby cnotę? Wiem na pewno, że potrzeba była twoim doradcą a może twoja przekłeta duma. Byłbyś inaczéj na świat wystąpił, gdybyś miał jaki majątek.

— Przecież pan wiesz że nie mam żadnego.

— Nie sprzeciwiaj mi się ty bezmózgowy mamucie! Przyjaciel, który ma majątek i daje nam go do dyspozycji, jest także majątkiem. Jestem twoim przyjacielem, mam majątek i oddaję ci go do twojej dyspozycji, kto więc czy nie spełniam tym sposobem dobrego uczynku, jak gdybym go, za przykładem mojego ojca, oddawał na przytułek sierot lub na co podobnego. I ty jesteś sierotą, a zatem działam w duchu mojego ojca i będę z tego bardzo zadowolony.

— Ale ja nie! odpowiedziałem śmiejąc się.

— Nie śmieję się, ty poczwaro! Nie pojmujesz nawet tego, że ja to bardzo na serjo mówię. Bierz pieniądze — będzie tego około 50,000 talarów, wejdz w spółkę z radcą handlowym, albo załóż fabrykę na swoją rękę i wysadz go z siódła. Za kilka lat

będziesz w całych Niemczech pierwszym fabrykantem maszyn...

— Proszę mi darować panie doktorze, ale nigdy nie od nikogo nie przyjmę. Moja niezależność, którą nad wszystko przenoszę, nie pozwala mi używać pomocy i majątku obcego do założenia fundamentu przyszłego mojego życia.

— Czy wiesz co znaczy ta twoja napuszczona deklamacja? zawołał doktor naprawdę rozgniewany mają odmowę. Oto że będziesz wiecznie biedakiem, nędznym biedakiem jak ten co chce się sam własną ręką, za swoje własne włosy z błota wydobyć. Nie mój drogi! Cała sztuka na tem zależy, żeby się tak urządzić żeby inni na nas pracowali. Kto tego nie rozumie, ten nie ma za grosz rozumu i będzie całe życie biedę klepał.

— Coby na to powiedział zgasił nasz przyjaciel, gdyby słyszał taką mowę pańską?

— Czyż życiem swoim i śmiercią nie potwierdził prawdy moich twierdzeń? piał ochotny do walki doktor. Czy to się nazywa żyć jak mądry człowiek, kiedy się zostawia tych, których się najwięcej kochało w potrzebie i ubóstwie? I jakież to są owe wielkie rezultaty długiej i pełnej poświęceń pracy dla ogólnego dobra? Wielki ten kapłan humanizmu myślał, że jego przykład wywoła radykalną reformę w wewnętrznym urządzeniu więzień, a jak tylko zrobił to głupstwo i zamknął na zawsze powieki, cały gmach runął odrazu jak domek z kart. Jeżeli to nie jest błazeństwo, to chyba ja się nie znam na tem co znaczy pstrokata czapka pajaca, przybrana w dzwonki i wszelkiego rodzaju świecidla.

— I ja znam także człowieka, którego czapka nie mniej jest pstrokata, rzekłem patrząc doktorowi prosto w oczy, jakże nazwiemy człowieka, który będąc jedynakiem bogatego ojca przyjął dobrowolnie mozolny urząd więziennego doktora za lichą płacę, który objawwszy majątek po ojcu biegnie ciągle po zaułkach i poddaszach niosąc pomoc ubogim i biedakom, który znudzony pilnowaniem tego majątku, rzuca go pierwszemu lepszemu, a potem umrze jak nędzarz?

— Czy ja pragnąłem kiedy uchodzić za co innego? odpowiedział mój przeciwnik trochę zakłopotany. Gdyby to można było łatwo zostać dzieckiem roztropności! Ale roztropność wyrabiają całe generacje, roztropność trzeba chodować w rodzinie, jak się trenuje wyścigowe konie. Weź naprzykład radcę handlowego. Jest on klasycznym przykładem jak silnie rośnie i dojrzewa roztropność, kiedy się zaszczepi na pniu rodzinnym. Dziadek jego był fabrykantem igiel; miał mały sklepik przy bramie portowej w S. Był to stary, znany dobrze łotr, sprzedawał w sklepie igły i śpilki a w tylnéj izbie pożyczał na fanty. Potem następuje jego syn, ale ten był już o głowę wyższym od ojca. Umiał już czytać i pisać i jeszcze lepiej rachował niż stary. Przesiedlił się do twojego rodzinnego miasta, kupił parę okrętów i otworzył drogę swojemu synowi, który jest najwyższym między nimi. Świetne jego czasy przypadają za Napoleona. Napoleon, system kontynentalny i kontrabanda, uczyniły go bogatym, ta sama kontrabanda którą twój przyjaciel przypłacił życiem. Kiedy radca handlowy defraudował, wtedy kontrabanda uważana była za patriotyzm, a biedaki co życie swoje narażali, za męczenników dobrej sprawy. Bóg tylko jeden wie ile ludzkich dusz ma on na sumieniu! A kiedy później ci ludzie, przyzwyczajwszy się do tego rzemiosła, nie chcieli i nie mogli go porzucić boby z głodu poumierali, on się wycofał i śmiał się w duchu z wszystkich, Nastaly czasy liwerunku dla armji a wtedy pijawka ta dobrze się ludzkiej krwi i krzywdy nassała. Wszystko mu się udawało co tylko przedsięwziął; wnuk iglarza a syn meklera został milionerem, poślubił szlachciankę, ma tytuły, order, wszystko czego serce pożąda. Ot to mi dziecko roztropności, polecam ci go za wzór!

— Żebyś stracił pańską przyjaźń i szacunek wszystkich dobrych ludzi.

— Na co ci się przyda moja przyjaźń. Moja przyjaźń warta najwięcej 50,000 talarów. Masz słusność że o taką bagatelę nie stoisz. Ożeń się z Herminą Streber, to przynajmniej będziesz wiedział dla czego jesteś gałganem.

— Zdaje się że podpadamy pod tę kategorię, kiedy nie mamy wcale pieniędzy, albo kiedy ich mamy bardzo wiele, — odezwał się ukrywając pod śmiechem moją niechęć na takie ultimata doktora.

— Tak jest! ostateczności stykają się z sobą i dla tego właśnie utrzymuję, że los twój jest nieodmien-

nym. Idzie tylko o to, jak ująć starego bo z córką jesteś jak najlepiej. Wasze spotkanie na parowcu było bardzo miłem, a teraz ten Ryszard Lwie Serce w obrazie, dopóki się go nie dostanie w rzeczywistości.

— Zdaje mi się panie doktorze, odezwałem się wstając, że już czas jest powiedzieć sobie dobranoc?

— Jak chcesz! Wiesz jak najdoskonalej co dla ciebie jest dobrem, to i to musisz wiedzieć.

Doktor także wstał i skakał po pokoju z nogi na nogę, wykrzywiając twarz dziwnie.

— Panie doktorze! rzekłem zastępując mu drogę. — Idź już idź.

— Odchodzę — i rzeczywiście wyszedłem.

Ale na samym progu zatrzymałem się na chwilę obejrzałem się na dziwaka, który znowu usiadł w krześle i wpatrywał się we mnie przez swoje duże okulary.

— Panie doktorze! powiedziałaś mi że tylko cztery szklanki pijasz a dzisiaj wypijeś sześć. Dla tego gniew pana, którym mię żegnasz, kładę na rachunek piątej i szóstej szklanki. Bądź pan zdrow! Opuściłem pokój; nie zrobił najmniejszego poruszenia, żeby mię zatrzymać a nawet kiedy zamkną drzwi, usłyszałem głośny śmiech.

— Takie to są skutki kiedy się miarkę przebierze rzekłem sam do siebie.

— Ale kiedy wyszedł na ulicę, kiedy mię owionął zimny nocny wiatr, uczulem zaraz że i ja przebrałem miarkę. Jakoś nie pewno stąpałem a po głowie latały mi rozmaite widzenia, na których znać było wyraźnie cztery szklanki mocnego grogu. Kto wie czy się na głos nie roześmiałem kiedy mi się nagle przywidziało, że słyszę głos radcy handlowego i te wyrazy wymówione do mnie. Kochany synu, musimy razem mieszkać, bo inaczéj nigdy cię w domu nie zastaniemy a Hermina gniewa się.

ROZDZIAŁ III.

Ponieważ nazajutrz była niedziela, miałem dosyć wolnego czasu do zastosowania się nad wczorajszem postępowaniem doktora. Ale czy to sprawa była bardzo zawikłana, czy grog zaćmił moje wspomnienia, nie mogłem dobrać się do żadnego rezultatu. Wiedziałem o tem dobrze, że dziwny ten człowiek bardzo mię kochał, a wczorajszemu nawet gniew jego był gniewem starszego brata, któremu się zdaje że młodszy brat nie zupełnie na dobrej jest drodze. Nie mógł także gniewać się na mnie o to, że chciałem wszystko podług mojego widzi mi się winien być samemu sobie boć i on bardzo młodo stanął na niezależnej stopie i trwał upornie przy raz obranym sposobie życia. Żem został robotnikiem, tego nie może poczytywać za zbrodnię człowiek, który całe życie wspierał ubogich i nędzarzy. Musiałem szukać przyczyny jego gniewu gdzieindziej i doszedłem w końcu do tego wniosku, że obraz Wandy, na którym figurował jako król Ryszard Lwie Serce, był pierwszą przyczyną jego niechęci. Czy go to gniewało że Wanda uparła się przy swoim modelu? Czy sądził że nie zasłużył na zaszczyt, żeby mię Wanda malowała? Czy go to drażniło że obraz ten wymknął mu się z rąk a dostał się radcy handlowemu, którego tak nienawidził? Pytania te zostawiłem bez odpowiedzi dopóki nie zobaczę wprzód *corpus delicti* to jest samego obrazu.

Około południa postanowiłem pójść do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie w obszernych salach już od tygodnia otwartą została wielka wystawa obrazów. Pierwszy to raz dopiero miałem ujrzeć takie widwisko. Chociaż od młodości miałem pociąg do przypatrywania się malowidłom, chociaż dużo czasu przeżyłem przy prawdziwie artystycznej osobie, znałem się tyle na malarstwie co tysiące innych przechadzających się po salach. Nie mogę opisać tego uczucia, jakie mię przejmowało, kiedy wszedłem do tłumem lub samotnie rozmyślałem w tych ogromnych salach. Nie widziałem nigdy nie podobnego a nawet nie przypuszczałem żeby to było możliwem. A zatem jest na świecie tylu ludzi, którzy pędzłem i farbami pracują i są w stanie zapisać całe ściany od dołu do góry utworami swojej pracy? Czy świat rzeczywiście jest tak pięknym i bogatym? Czy takie jasne niebo znajduje się gdzie rzeczywiscie? Czy są gdzie takie wspaniałe wiecznościżne góry? Czy unoszą się takie niezliczone gromady ptaków nad afrykańskimi rzekami? Czy pałace włoskie są rzeczywiscie tak przepyszne? Czy Wenecja i jój

gondole są rzeczywiście tak piękne i miłe? Tak jest, wszystko com tu widział bytuje na świecie. Byłem jakby w zaczarowanym zamku, a wyobraźnia moja zabiegła daleko po za przestrzeń i czas.

Wędrowałem już tak przeszło od godziny po salach, kiedy w ostatniej mocno z góry oświetlonej ujrzałem nad głowami przypatrujących się własnemu memu portretowi. Stałem przestraszony. Rzeczywiście ja to byłem na obrazie Wandy, którego tak długo napróżno szukałem. Ogromna liczba widzów cisnęła się ku niemu i z zachwyceniem przypatrywała się. Kiedy niekiedy odezwał się głos mocniej czujących: „Zachwycający, po mistrzowsku poczęty i wykonany!” Myślałem że marzę we śnie widząc siebie samego leżącego na łożku i prawie zupełnie odkrytego, bo doktor mię opatrywał. Krew uderzyła mi do głowy! Myślałem że wszyscy się na mnie obejrzą i krzykną: Oryginał! Ale trudno było domyślić się żeby chory król o Lwie Sercu, był kopią wysokiego, zdrowego i młodego robotnika w niedzielnym stroju, który się tam ukrywa w niszy przy oknie. Nikt się też tego nie domyślił, mogłem więc spokojnie przypatrywać się obrazowi.

Teraz dopiero dostrzegłem że to jest ten sam obraz, który już widziałem w szkicu, ale w daleko większych rozmiarach. Rzeczywiście był to nowy obraz, który musiał już później być malowany, już po naszym rozstaniu; tem więc dziwiło mię uderzające podobieństwo chorego króla do człowieka w niszy przy oknie. Były to jego jasne włosy, jego szerokie niskie czoło; jego wielkie niebieskie oczy, które nie miały gwałtownie patrzeć. Nawet gorączkowy rumieniec na zapadłych policzkach króla, można było w tej chwili dojrzeć na twarzy człowieka przy oknie. Wszystko z resztą pozostało jak było, tylko rycerz z rysami Artura mógłby być więcej usunięty na tylny plan, a na jego miejscu powinien był stanąć Yeoman z rysami wachmistrza Zismilcha. Wyborna była figura arabskiego doktora *alias* doktora Willibrad Snellius, w sukniach derwisza, który mimo swoją brzydotę potrafił sobie zjednać zaufanie i miłość chorego króla. (1)

Ten to był więc obraz, malowany przez Wandę a kupiony przez Herminę! Czy nie było w tem materiału do dumy i nadziei? Czy oryginał nie musiał się wryć w pamięć artystki, że go tak doskonale z pamięci oddała? Czy oryginał nie miał wielkiego zajęcia dla tej co za tak wysoką cenę kupiła jego kopię. Były to szalone myśli, to też jak przędka powstały równie przędka zniknęły. Gwałtownym ruchem wydarłem się z tych myśli, spojrziałem jeszcze raz na obraz, przed którym jeszcze więcej zgromadziło się widzów.

Między nowo przybyłymi spostrzegłem jakąś damę w bogatej ale gustownej toalecie, szła pod rękę z jakimś dandysiem fircykowato ubranym. Uderzony byłem wysmukłym wzrostem i swobodą ruchów tej kobiety. Mała jej ręka ujęta w prześliczną rękawiczkę wskazywała na obraz, a usta mówiły coś z zapalem do mężczyzny, który zimno przyglądał się malowidłu. Obrócona była do mnie tyłem, zaledwie odrobina twarzy mogłem dojrzeć, kiedy się ku swemu towarzyszowi zwracała. Ale ta odrobina nawet uderzyła mię mocno nie wiem dla czego, nie mogłem oderwać od niej oczów. Przekisnąwszy się przez tłumy udali się oboje do innej sali, w samym progu dama odwróciła się jeszcze raz żeby spojrzeć na obraz... o mało nie krzyknąłem z zdziwienia i strachu. Była to Konstancja!

— Czy widziałeś już Bellini? odezwał się w bliskości mnie jakiś oficer do swojego znajomego.

— Czy to była Bellini ta dama w ciemnej jedwabnej sukni, z kaszmirowym szalem i eleganckim kapelusikiem?

— Bellini! Zachwycająca kobieta!

— Pyszna! A kto był ten pan co ją prowadził pod rękę? Może to baron Sandstrom attaché przy szwedzkim poselstwie?

— Czyżby on śmiało pokazać się publicznie ze spiewaczką? Był to tenor Lenz z teatru Alberta.

— Ten sam co ją sprowadził do Berlina?

— Ten sam. Ma ona mieć niepospolity talent. Zobaczmy to wkrótce.

— Przecież baronie nie pójdziesz do teatru Alberta.

(1) Wszystkie osoby z romansu Walter-Skotta: Ryszard Lwie serce w Palestynie. M. G.

— Żeby usłyszeć Bellini, dla czego nie?
— Jesteś niepoprawny baronie!
— Jeżeli to komplement to ci go chętnie zwracam.

Obaj młodzi rozeszli się śmiejąc się serdecznie. Odetchnąłem. Dzięki Bogu że to artystka a nie Konstancja v. Zehren. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że mogłem pójść z nią i przekonać się o prawdzie. W oka mgnieniu przebiegłem wszystkie sale ale nigdzie jej już nie było — zniknęła. Chwała Bogu że to artystka a nie Konstancja powtarzałem sobie, z artystkami nie mam nic wspólnego bom za biedny dla nich. A jednak spoglądałem ciągle po widzach czy jej gdzie nie zobaczę. Wspomnienia młodości trzymają się silnie człowieka przez całe jego życie.

Wspomnienia te opuściły mię dopiero kiedy wszedłem do mieszkania Wandy, które mi doktor wskazał. W niedzielę wszystkie sklepy były zamknięte, na trotuarach pełno wszędzie ludzi a na ulicach karety i dorożki uwijały się w różnych kierunkach. Szedłem i ja wesoły a miasto i ludzie wydawali mi się bardzo pięknymi; wszyscy biegli za czemś, kto wie na jaki brzeg wyrzuci mię prąd mego życia? Widziałem już ten port, widziałem już ukochaną postać kiedy stanąłem przed pięknym domem na przedmieściu. Odzwierny powiedział mi że pani Zehren mieszka na drugim piętrze.

— Ale mi się zdaje że państwa nie ma w domu.

— Nikogo?

— Może który z paniczków?

— To pójde zobaczę.

— Czy pan masz jaki obstalunek? Zostaw go pan u mnie!

— Muszę się sam widzieć.

Odzwierny zamknął okienko, spoglądając niedowierzająco na tego chłopca, wcale nie po pańsku ubranego. Wbiegłem na drugie piętro gdzie na drzwiach zobaczyłem przybitą mosiężną blaszkę a na niej wypisane nazwisko pani Zehren a pod spodem Wanda Zehren. Zadzwołem myśląc sobie, że zobaczę którego z chłopców a może wszystkich trzech razem. Drzwi się otworzyły a w nich pokazał się stary z długimi swymi faworytami wachmistrz i przyglądał mi się z ciekawością.

— Dzień dobry panie wachmistrzu!

— Wszelki duch pana Boga chwali! Jesteśmy nakoniec! Jakże się uradujemy i pani i panice i pana Wanda! Wejdźmy przecie!

I wciągnął mię do pokoju, zamknął drzwi, i wołał ciągle.

— Jak paradnie wyglądamy! Zdaje mi się żeśmy urośli! Musieliśmy ciężko pracować, że mamy tak grube ręce. Żle nam widać szło? Ale trzymaliśmy się tego, to główna rzecz! Jak dawno wydobyliśmy się z owiej przeklętej dziury?

I wypytywał mię ciągle o różne rzeczy; posadził mię w krzesło i złościł się mocno kiedy się dowiedział, że już od dwóch tygodni w Berlinie.

— To nie prawda! Przez całe dwa tygodnie nie przyszło do nas cośmy ciągle czekali? To wygląda dobrze na niedźwiedzia o siedmiu zmysłach!

— Trzeba napróżd o sobie myśleć, stary! Czy by to było w porządku rzeczy, gdybym tu napróżd przyszedł z zapytaniem do panny Wandy, co ma z sobą zrobić wielki Jerzy?

— Zapewne! Zapewne! mówił wachmistrz skubiąc faworyty. Mężczyzna stoi o własnych siłach; mężczyzna a nawet panna musi mieć zawsze kogoś co o nię myśli, co jej dom urządzi, co jej strzedz musi, bo kobieta jest zawsze kobietą a mężczyzna mężczyzną. Każdy o tem wie, kto umie odróżnić piórko do zębów od bramy więziennęj. Czy nie prawda?

— Najzupełniejsza prawda! I dla tego zapewne znajduję się tutaj.

— Oczywiście! Czyżby mogli dać sobie radę bezemnie?

— Szczególniej bez twoich rąk!

— I one często bardzo się przydadzą, ale głowa!.. i potrzasała dumnie tą interesującą częścią swojego ciała.

— Byłem dziś na wystawie.

— A co nie prawda że śliczny obraz? zawołał stary z zapalem: — ale zakonnik jeszcze ładniejszy!

— Co?

— Zakonnik. Nie wiemy widać co teraz malujemy. Musimy to zaraz zobaczyć.

I stary podskoczył z zapalem i zaprowadził mię do

przyległego pokoju, który był pracownią Wandy. Wszędzie było mnóstwo rozmaitych szkiców i na pół ukończonych obrazów; przy oknie wysokiem aż pod sufit stały stalugi a na nich jakiś obraz zakryty. Zismilch piorunem zerwał zasłonę.

— To przepych! Nie prawda?

— Rzeczywiście, odpowiedziałem.

Obraz przedstawiał templariusza i bractwo klasztorne, który mu się ciekawie przyglądał. Obie postacie były tak plastyczne że się zdawało, że lada chwila przemówią.

Za niemi w tyle był dom Natana, minarety i Grób święty, księżyc posrebrzał całe miasto Jeruzalem a wzrok tonął z zachwyceniem w niedojrzałej przestrzeni.

— Braciszek to żywy ja, ale templariusz nie wygląda tak ładnie jak król Ryszard. Artur...

— Przecież panna Wanda nie może ciągle malować mojej osoby, byłoby to monotonnem. Twoja głowa to rzadki egzemplarz, ona nie znuży.

— Nie prawda? Zdziwiająca rzecz! wszyscy to powtarzają. Wszyscy nas do siebie zapraszają. Panna Wanda musiała mię już nieraz pożyczyc, ale na innych obrazach wyglądam jak niedźwiedź o siedmiu zmysłach.

— A jak jej się powodzi?

— Dosyć dobrze. Ale za wiele pracuje, i tu i w muzeum. Tego by żaden niedźwiedź nie wytrzymał. A do tego jeszcze nie może zapomnieć swojego ojca i płacze ciągle! To kara boska.

— A pani Zehren jak się ma?

— Jako tako. Ale doktor tutejszy najslawniejszy okulista powiedział, że nie ma żadnej nadziei żeby mogła wzrok odzyskać.

— A Bonus, Karol i Oskar?

— Chłopaki są naszą radością. Bonus chodzi do uniwersytetu i Karol nie długo także pójdzie. Oskar zawsze jest naszym faworytem, kieruje się na malarza i na początek wymalował moją głowę — paradnie...

W tem zadzwoniono. Zismilch zdziwił się bo panie i chłopcy nie wracali zwykle o tej porze. Zapewne ktoś obcy i pobiegł otworzyć zostawiwszy mnie samego w pracowni.

Słyszałem na progu jakąś rozmowę, zdawało mi się że to głos Wandy, drzwi się otworzyły i rzeczywiście weszła Wanda. Nie zobaczyła mię zrazu, szybko zbliżyła się do stalug. Mroźny wiatr zarumienił jej policzki, usta na pół się otwarły. Nie myślałem nigdy że mogła być tak piękną. Nagle spostrzegła mię: przycisnęła ręką pierś, widocznie brakło jej oddechu.

— Wando, droga Wando! to ja!

— Drogi Jerzy!

Uchwyciłem obie jej ręce a ona z uśmiechem spoglądała na mnie.

— Dzięki Bogu, Jerzy, żeś wreszcie przybył. Nie miałam chwili spokojnej od czasu kiedy się dowiedziałem żeś już wolny. Nie mogłam pojąć gdzie się podziewasz, myślałam że cię na drodze jakie nieszczęście spotkało. Powiedz coś robił gdzieś bywał ty zły człowieku. O twoich przygodach wiem już trochę i to z bardzo pięknych ust... Nie masz się czego wstydzić, mówiła żartując, jesteście jak brat z siostrą. Jestem powiernicą wszystkich, Bonus a niedawno Karol wyznał mi szczerze że go zajęła czternastoletnia córka tajnego rady który mieszka w tym samym domu. Dla czegożbym nie miała być twoją powiernicą? Wszakże jesteś moim najstarszym bratem.

Zdziwiło mię to bardzo kiedy ją usłyszałem tak mówiącą — ja co dawniej każde słówko obmyślała i ważyła. Jakaś wielka odmiana w niej zaszła od czasu naszego rozstania. Nie była to ta sama Wanda, którą znałem kiedyś. Zkąd nabrała tej śmiałej swobody w mowie i w ruchach?

— Nie mi nie odpowiadasz. Hermina mówiła mi że gdyby nie ty, parowiec byłby zatopiony a z nim wszyscy pasażerowie. Byłam dumną z ciebie. A wiesz jaka była pierwsza moja myśl?.. Żałowałam że mój ojciec tego nie słyszał.

Wielkie jej oczy zalały się łzami, ale przędka zwyciężyła swoje wzruszenie i mówiła dalej:

— Tak jest byłam dumną z ciebie i cieszyłam się że tak szlachetnym czynem rozpoczęłaś twoją wędrówkę po drodze życia. Musisz mi teraz opowiedzieć wszystko co ci się po śmierci mego ojca przytrafiło?

Opowiedziałem jej najmniejszą szczegół, a kiedy wyznał że jestem prostym robotnikiem w fabryce,

radcy handlowego, a zatem w pewnym względzie jem jego chleb, roześmiała się głośno.

— Czy radca i Hermina wiedzą o tem?

— Nie wiedzą i to mię bardzo cieszy.

— Ale to niedługo potrwa, bo się w końcu dowiedzą.

— Od kogo?

— Odemnie na przykład. Hermina zaklinała mię na wszystko co jest najświętszego pod słońcem, żeby ją zaraz zawiadomić o dziwaku, jak się tylko zjawi. Kiedy to mówiła lży płynęły jęj z oczów a panna Bęte położyła rękę na jęj ramieniu i powtarzała ciągle: szukaj a znajdziesz. Powiadam ci że to była wzruszająca scena.

Opowiadała dalej, że Hermina była zawsze dla nięj jak najzyczliwszą, że całe trzy dni swojego pobytu w Berlinie prawie u nięj przesiedziała, że obraz ogromnie się jęj spodobał i że złościło ją to bardzo, że musiała go jeszcze przez miesiąc na wystawie zostawić. A dalej: że Ryszard Lwie Serce zjednął jęj sła-wię i poważanie, że ma dużo obstalunków i że *Braciszek klasztorny* kupiony został za znaczną cenę przez jakiegoś bankiera. Ale za to musi przyjmować rozmaitych ludzi, rozmaite wizyty, co jęj strasznie nie na rękę.

— Nie robi mię to wcale dumną, bo wiem że mi dużo brakuje, ale przynajmniej jestem spokojną o los matki i braci... wszystkich braci i najstarszego nawet!..

— Droga Wando! o mnie nie masz się co troszczyć, jestem na dobrej drodze i wszystko pójdzie mi dobrze.

— Mam zupełne zaufanie w twojem wykształceniu i sile charakteru. Wiem że zdobędziesz sobie świetny los, ale dla twojęj siostry wiele to znaczy żebyś jak najprędziej do celu doszedł i nie obrażał nogi o kamień.

— Dziękuję ci za te wyrazy Wando, ale przyznam ci się że mi bardzo żal, że muszę się wyrzec ulubionęj mojęj myśli, być opiekunem twoim i wszystkich twoich.

— Nie zrozumiałeś mnie kochany Jerzy. Nie jestem tyle nierozsądną i zarozumiiałą, żeby nie wiedziała iż jak prędko się wzniosłam tak prędko upaść mogę. Mogę zachorować, może mi braknąć siły twórczości, bo panna nie może tak szeroko i daleko zajrzeć w świat jak męzczyzna, niepodobna znowu żeby cię ciągle malowała tylko ciebie i Zismilcha. Cóżby się wtedy stało z chorą matką, z chłopcami i z mną gdybym nie miała najstarszego brata!..

— Żartujesz ze mnie Wando!

— Nie żartuję wcale. Już nieraz uczułam jak nie wystarczam dla moich braci, że dla młodzieńców takich zamało jest kobieta, a do tego panna, że im trzeba na przewodnika męzczyzny. Na doktora nie rachuję, jest to dziwak, a dziwak nie może być wzorem. Tęskniłam za tobą, chłopcy kochają cię bardzo i tobie tylko mogę ich powierzyć.

— Ale droga Wando zapominasz, że robotnik w fabryce machin, prosty kowalski czeladnik, nie może być przewodnikiem uczniów uniwersytetu i artysty.

— Będiesz zawsze robotnikiem, ale nie zawsze czeladnikiem, zostaniesz majstrem i to wielkim majstrem. Sam nie wiesz coś wart.

W tęg chwili właśnie zadzwoniono.

— Jest to matka i chłopcy. Dziwnoby im było gdyby się dowiedzieli, żeś już od dwóch tygodni w Berlinie a nie byleś u nas, musisz z czternastu dni zrobić czternaście godzin, pozwalam na to małe kłamstwo.

Wpadli wszyscy do pokoju: Oskar mój ulubieniec i Karol mój ulubieniec i Bonuś mój ulubieniec prowadził matkę. I rozległy się okrzyki, ściskania, pocałunki, kto wie czy i lży nie płynęły. Musiałem zostać u nich do wieczora a kiedym odchodził, chłopcy uparli się żeby mię odprowadzić żeby zobaczyli moje mieszkanie i opisali je siostrze. Późnie już w nocy położyłem się a we śnie widziałem obraz malowany przez Wandę a kupiony przez Herminę, i widziałem śpiewaczkę Bellini tak podobną do Konstancji Zehren.

ROZDZIAŁ IV.

Kiedym się obudził wszystkie moje marzenia od razu uleciały. Marzyć we dnie dozwolonem jest tylko bogaczom: biedny jeżeli chce żyć poczciwie i niezależnie musi od rana do nocy pracować. I ja też ca-

ły dzień kulem młotem a wieczór rozwiązywałem zawiłe rachunkowe formuły, Bonuś który już uczęszczał na wydział fizyczny, przychodził do mnie dwa razy w tygodniu, żeby mu pomódz w trudniejszych zagadnieniach a ja znowu jeden przynajmniej wieczór w tygodniu przepędzałem u nich. Sliczne i spokojne czasy! Z dnia na dzień robiłem coraz większe postępy, coraz lepiej pojmowałem tajemnice mechaniki i czułem, że sam potrafię zapewnić sobie los, szczęście i szacunek ludzi... Jakże wam opisać moją radość, kiedy pewnej niedzieli Wanda z braćmi p: zysła obejrzeć moje mieszkanie. Oczy jęj padły naprzód na malakitowe wazonu i na Madonę Syxtińską. Jakieś uczucie zadziwienia, żalu i rozczylenia mignęło na jęj twarzy. Obejrzawszy wszystko do najmniejszych szczegółów zaczęła żartować mówiąc:

— Umieszczenie się w takich ruinach, umeblowanie się takimi starymi gratami, nie pokazuje wielkiego gustu, ale zostań tu. Zdaje mi się żeś tu stanął jako zwycięzca i wywiesiłeś flagę twojęj przyszłości, widzę już jak te kupy kamieni i drzewa zamieniają się w ogromne zabudowania, widzę jak ogień i para buchać już zaczynają z okien, z ognisk i z kominów, widzę jak się ta pustynia zaludnia robotnikami, domek ten przerabia się na piękną willę a ty panujesz tu jako naczelny majster. Zostań tu, miejsce to przyniesie ci szczęście. Tym czasem muszę tu się u ciebie rozporządzić i to i owo dodać, żeby miały oczy kobiety na co popatrzeć.

Zdawało mi się że to sybilla przepowiada mi przyszłość, a jednak wolalbym być żeby mi Wanda powiedziała, że zadaleko od nich mieszkam i że rada by była częściej mię odwiedzić. Choć nie byłem biegłym w tych rzeczach, dojrzałem jednak że stosunek mój do Wandy jest teraz zupełnie inny niż dawniej. Dawniej najczęściej używamy mówiąc do siebie, ceremonialnie zimnych wyrazów: pani, pan, a teraz ona pierwsza po tak długim rozłączeniu, wymówiła najpiękniejsze dwie litery, jakimi kobieta uszczęśliwia męzczyznę: ty!.. Odtąd byłem jakby rzeczywiście najstarszym jęj bratem. Godziny, które przeżyłem między tą rodziną napełniały moje serce nieopowiedzianym spokojem i uwielbieniem dla rodzinnego życia. Był to prawdziwy raj ziemski. Matka otoczona najserdeczniejszym szacunkiem i troskliwością, bracia wszyscy już dorastający młodzieńcy kochali i czcili swoją siostrę jak anioła opiekuńczego. Jedno jęj słowo przywracało pokój przy małych nieporozumieniach. Była rzeczywiście aniołem opiekuńczym nie tylko w moralnem ale i w materialnym względzie. Za Ryszarda i Braciszka dostała znaczne wynagrodzenie, a teraz właśnie handlarz obrazami zamówił u nięj za wyższą jeszcze cenę obraz, któryby przedstawiał jaką myśliwską scenę. Książę następca tronu wprowadził w modę takie obrazy, oczywiście wysoka szlachta rzuciła się zaraz do nich, a za nią poszli bankierzy i musieli koniecznie mieć u siebie malowane zajęce, lisy i kuropatwy.

Odtąd nie miałem już czasu na moje rachunkowe formuły; co wieczór prawie byłem z Wandą i pomagałem jęj w tem wszystkiem co się techniki myślistwa tyczyło. Znała doskonale całą historię mojęj pobytu na zamku Zehrenów, to też sama wybrała przedmiot do obrazu. Scena przedstawia wielki las; na brzegu jego wpośród ślicznych wrzosów, przed samym zachodem słońca Dzik, Granów, Trantów, ja i kilku jeszcze sąsiadów, siedzą przy obiedzie myśliwskim a obok nich mnóstwo dzikiej zwierzyny różnego rodzaju. Na boku służba, konie wierzchowe i psy; w odległości ruiny starożytnego zamku, całość przepyszna. Pani Zehren słuchała z zajęciem naszych estetycznych rozpraw, chłopcy unosili się nad koźmi i psami, stary wachmistrz mruczał że nie ma na obrazie niedźwiedzia o siedmiu zmysłach, a kucharka śmiała się widząc takie ładne zajace, kuropatwy. W chwilach odpoczynku zwracaliśmy się bardzo naturalnie ku temu, co mnie najbliżej i najwięcej obchodziło. Moja praca w fabryce, moje postępy w teorii dosyć już duże znaczenie i wpływ na cały zakład: dalej prace, charakter i przyszłe losy chłopców, Klaus, Krystyna, doktor, Hermina i Artur codzień prawie byli na naszych ustach. Wszak to cały nasz świat, a tak nam dobrze w nim było.

Okolo godziny pierwszėj po południu, Wanda pewnej niedzieli pracowała pilnie przy stalugach, bo termin ukończenia obrazu zbliżał się. Ja wyczerpawszy wszystkie moje wiadomości jakie jęj się przydać mogły, chodziłem po pokoju, a pani Zehren z synami poszła na przechadzkę. Nagle zadzwoniono mocno.

— Myślałem że przynajmniej dziś będziemy wolni od tych nudnych wizyt, odezwał się z niecierpliwością.

— Każdy stan ma swoje troski odpowiedziała Wanda.

Tym czasem służąca otworzyła drzwi; stanąłem jak wryty ujrzawszy wchodzących dwóch panów, jeden Artur, drugi obudził we mnie naraz wszystkie wspomnienia które już drzemały. Ten drugi szedł naprzód a za nim Artur z pewnem uszanowaniem poufałem.

Ze zwykłą sobie układnością i swobodą poprowadził towarzysza swego do kuzynki i rzekł:

— Mam zaszczyt przedstawić ci hrabiego Rałowa, z którym się poznałem w Londynie, a który jest wielkim znawcą, malarstwa i wielkim wielbicielem twojęj talentu.

— Przyjaciel mój nie zupełnie dobrze przedstawił mię, odezwał się hrabia do Wandy z pełnym szacunku i wykwintności ukłonem, — nie jestem wielkim znawcą, ale jestem wielkim czcicielem pani talentu. Widziałem obraz pani na wystawie i jak wszyscy jestem zachwycony. Ponieważ kuzyn pani był tyle śmiałym, że mię pani przedstawić przyrzekł, nie mogłem wypuszczać z rąk tak wielkiego szczęścia. W tem spojrzął na obraz, cofnął się o krok i spoglądał prawie przerażony na to co widział. Mógł się przerazić, bo ujrzał *Dzika* który o mało co nie udusił ojca młodego księcia Karola Prora-Wiek. Dwa razy tylko w życiu widziałem go, raz kiedy w całym galopie przeleciał obok mnie, a drugi raz przy świetle księżyca w gęstym lesie, mimo to postać jęgo wyryła się jak stała w mojęj pamięci.

— Sliczne, przepyszne i las i wrzosy i zamek, wszystko to znam. Jest to zadziwiające złudzenie mój panie Zehren, czy nie prawda?

Ale Artur nic nie odpowiedział, bo jeszcze więcej się zmieształ niż książę, kiedy mię ujrzał w głębi pokoju. Zdaje mi się że nie wiele było na świecie ludzi, którychby widok przykrzejszym był dla Artura.

— Czy nie prawda Zehren? powtarzał książę.

— Bez wątpienia, śliczne, ładzące!

A ponieważ Artur ciągle wpatrywał się we mnie, to i oczy księcia skierowały się w tę stronę, gdzie stał wysoki, barczysty młody człowiek z twarzą Ryszarda Lwie Serce, a w całej figurze na myśliwskim obrazku. Oczywiście pomyślał sobie że to ów pospolity model, który z pracowni do pracowni wędruje, bo się z dziwnie pańską obojętnością do Wandy odezwał.

— A otóż oryginał króla Ryszarda, wszak tak proszę pani? Tęgi chłop, polecę go mojemu kuzynowi, Slachtensee, to go przyjmie do swoich grenadierów. A co dobra myśl Zehrenie? Jeżeli Artur miał na myśli uadać że mię nie widzi i nie zna, to mu nie bardzo było przyjemnem, kiedy mię książę wciągnął do rozmowy, i niepodobieństwem już było wyprzeć się szkolnego kolegi i przyjaciela młodości. Bał się także Wandy a mój szyderski uśmiech niemało mu także dokuczyl. Zrzuciwszy więc pychę z serca, wściekły w sobie, przemówił do mnie zimno grzecznym protekcyjnym tonem.

— Toś pan już wolny? Winszuję panu z całego serca. Fizjonomia młodego księcia zdradzała niepokój. Wyraz mojęj twarzy kiedym ku światłu wyszedł, słowa Artura i spojrzenia Wandy na mnie które on pochwycił, wszystko to przekonywało go, że jest w jakimś fałszywym położeniu, jakby wpadł w łapkę. Wanda odgadła jęgo myśli, i położyła koniec tęg dziwnęj a dla mnie bardzo zabawnej scenie, następującym zwrotem:

— Gdybyś był zaraz po powrocie przyszedł do nas, byłbyś już dawno mógł przywitać twojęj szkolnego przyjaciela, bo Jerzy jest już od trzech miesięcy w Berlinie. Ten pan, mówiła dalej zwracając się do księcia, jest moim najdawniejszym i najdroższym przyjacielem, który mi wiele dobrego w złych godzinach wyświadczył i dziś jeszcze swojami radami wspiera. Mam zaszczyt przedstawić panu, pana Jerzego Hartwiga.

(d. c. n.)

WYSTAWA WSZECHROSSYJSKA w Petersburgu.

Z końcem tego miesiąca ma nastąpić urządzenie ostateczne Wystawy w Petersburgu, z wielu względów nader ciekawej, zwłaszcza że wielkością swą i wspaniałością przewyższa wszystkie inne jakie dotąd miały tam miejsce. Będzie to prawdziwy popis siły produkcyjnych Rosji, co zrobiła, o ile podążyła za ogólnym postępem inteligencji społecznej i co jej jeszcze do zrobienia pozostaje. To też wystawcy z całego obszaru olbrzymiego tego państwa, zarówno z Syberji, Kaukazu, jak z pobrzeży Bałtyku i morza Czarnego, pośpieszają do stołecznego grodu z owocami swój pracy. Z Warszawy i z innych miast królestwa prawie wszyscy więksi przemysłowcy i fabrykanci już przystali swoje wyroby.

Gmach w którego wewnętrznym urządzeniu starano się korzystać z paryskiej wystawy, nie tylko co do rozłożenia działów, ale i w postępowem ich przedstawieniu, wzniesiony został zdala od gwaru miasta, nad rzeką w bliskości ogrodu letniego. Zbudowany w czworobok na galerję podłużną, mieszczącą w sobie lokomotywy, wagony dróg żelaznych, maszyny rozmaite, powozy, wozy, bryki i inne podobne przedmioty. Wejście przez główne drzwi prowadzi do ogrodu w kwadrat wybudowanego, którego ściany mają 80 stóp długości. Na środku jego bije wspaniała fontanna w kształcie kryształowej grotty. W okół ogrodu wznoszą się sale wysokie, zupełnie oszkłone, po prawej stronie jedna z nich przeznaczoną została na wyroby chemiczne, a przedsiomkono na niej na wyroby garbarskie, siodlarskie i białoskórnice, które dla odświeżania powietrza z wywiewów dziegiu nie ma nad sobą dachu. Przy fontannie umieszczone są dwa posągi naturalnej wielkości. Jeden odlany z brązu przedstawia Piotra W. w młodym wieku, obrabiającego jak zwykły rzemieślnik deskę do okrętu: drugi wykuty młotkiem z blachy cynkowej, przedstawia także tego monarchę w wieku już późniejszym z laską w ręku. Posąg ten wyrobu pana Rotha z Warszawy odznacza się szczególną delikatnością rysunku i lekkością ornamentów, zwraca też powszechną na siebie uwagę.

Ogólną liczbę wystawców podają na 2,300, ale byłoby ich i więcej gdyby miejsce na to pozwalało. Z powodu braku jego musiano wielu przyjęcia odmówić, a chociaż urządzający wystawę, bardzo ekonomicznie rozdzielali miejsca, napływ eksponentów był tak wielki, że za ledwie z wielką biedą zdołano zaspokoić ich żądania. Mimo tego według przedstawionych planów, podział dokonano bardzo sprawiedliwie, żałają tylko że ministerjum wojny zbyt wielką ilością dostarczonych przedmiotów, bardzo uszczupliło miejsce dla innych wystawców, co wywołało ogólne narzekania. Szczegółowe opisanie wszystkich działów Wystawy pozostawiamy na później, dziś ograniczymy się na pobieżnej wzmiance o niektórych, a mianowicie o stronie dekoracyjnej, która się wiele do ogólnego efektu przyczynia. Niezwykły widok przedstawia blask relsów składających się z całych odpolerowanych sztab z mechanicznego zakładu relsowego Putiłowa mającego pierwszeństwo przed innymi. Znamy wielkie także oddają pochwały próbom nadesłanym z fabryk żelaznych Potomirskiego z gubernji Jekaterinostawskiej. Zakłady tamtejsze posiadające bogate kopalnie rudy żelaznej, wyrabiają żelazo w niczem szwedzkiemie nieustępujące, a dokładnością wyrobu śmiało mogą współzawodniczyć z zagranicznymi, zwłaszcza że prowadzone są po większej części przez inżynierów lub hutników cudzoziemców albo polaków.

W pośrodku relsów Putiłowa błyszczy skała z rud ułożona, przystrojona lukami i herbami. W innym zupełnie stylu, ale szczególnie piękna zdoła dekoracja zakłady cesarskie szkła, porcelany i szlifirnię. Wyroby jubilerskie, brązowe pozłacane, marmury, porcelana, szkła, fajanse, olśniewają realną swą wartością dochodzącą do kroci rubli. Jeden z miejscowych fabrykantów dał na Wystawę olbrzymią świecę, składającą się z miliona świeczek spiralnie ustawionych na wspaniałym postumencie, na którym urządzono wodotryski i fontanny. Mnóstwo przytem innych dekoracji czysto w stylu ruskim, nada całej Wystawie narodowy charakter, co nie tylko miłym będzie dla miejscowych mieszkańców, ale spodoba się

niewątpliwie i cudzoziemcom, tem bardziej, że w ogólnym poglądzie da obraz nieznanym im prawie a tak różny od tego jaki widzieli na Wystawie w Londynie i Paryżu.

Staraniem towarzystwa prywatnego zbudowane zostało kilka akwarjów, które o wiele przewyższają rozmiarami urządzone niegdys na innych powszechnych wystawach. Pomieszczone w podziemiu na rozległości prawie całej przestrzeni gmachu wystawy, za wejście do siebie mają grotę z wodospadem.

Wszedłszy w podziemie uderza zaraz fantastyczny widok grot ze stalaktytów, upiększonych sztucznie roślinami i oświetlonych światłem elektrycznym. W pośrodku mieszczą się większe stawy, a akwarja przepelnione są najrozliczniejszymi gatunkami ryb ze wszystkich stron Rosji i sprowadzonych z Hamburga i Londynu. Znajdują się tam także ślimaki i różne ziemnowodne zwierzęta, a dla nadania większego jeszcze uroku fantastycznemu złudzeniu, gra ciągle orkiestra w tem czarodziejskim podziemiu.

Komitet towarzystwa rannych, urządził osobny oddział mieszczący w nim rozmaite przedmioty używane w Rosji i zagranicą, dla dawania pomocy chorym i ranionym w czasie wojny.

Smutne dzieła ten robi wrażenie i mimowoli wywołuje zapytanie, dla czego wszelkie wystawy nie pomieszczać oddziałów z przyrządami mogącymi zapobiedz prowadzeniu wojen? Jakby myśl tę odgadując, tuż przy dziale ministerjum wojny, napelnionym ogromnych rozmiarów działami, mieści się oddział wydawnictw i pomocy naukowych, urządzony przez komitet szerzenia oświaty pomiędzy ludem. Tu zwracają na siebie uwagę ławki dla szkółek miejskich i wiejskich, w których bez wszelkich komplikacji, uczniowie siedzieć muszą prosto, nie garbiąc się co pod względem higienicznym niezmiernie jest ważne, nogi zaś mają oparte a nie wiszące w powietrzu. Oprócz tego znajduje się tu przeszło dwieście ksiązek zatwierdzonych przez komitet dla kształcenia ludności wiejskiej, z oznaczeniem na każdej ksiązce ceny, poczynawszy od kopiejki jednej do rubla srebrem. Pomieszczono tam i mapy jeograficzne po cenie poczynawszy od kop. 10. Zasługują także na uwagę rozmaite przyrządy do rachunku, z których jeden na wystawie powszechnej w Londynie zaszczycony został listem pochwalnym. Przy pomocy tego przyrządu, można się nauczyć bardzo prędko czterech działów arytmetycznych a nawet i ułamków. Alfabet ruchomy pomysł p. Nomańskiego nauczyć mogący wkrótce całą masę ludzi, także zwraca powszechną uwagę.

Przegląd teatralny.

Wycieczka za granicę. — Komedja w jednym akcie, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zalewskiego.

(Pierwsze przedstawienie dnia 14 Maja r. b.)

Wycieczka za granicę jest to sobie krótkie, wesołe i w dobrym guście *scherzo* dramatyczne, które o miłą czułą francuzką manierą. Okoliczności wywołane charakterami męża i żony dają im obojgu naukę: żonie, z powodu niepotrzebnych zachcianek szastania się po zagranicznych, teremach; mężowi, — z powodu bezzasadnej zazdrości. *Aniela*, młoda mężatka, nudzi się w Warszawie, i chciałaby pojechać do modnych wód zagranicznych, ażeby poświęcić wdziękami, zebrać troszkę wrażeń na długie nudy miejscowe; lecz mąż który jest człowiekiem praktycznym nie zgodziłby się na kosztowny kaprys. Co tu robić? Trzeba się udać o pomoc do starego lekarza, przyjaciela domu, wyłudzić na nim współnictwo. Ale *Radost*, człowiek nie tego rodzaju: pokusa idzie zrazu tępo. Jednakże niedarmo, w chwili pokusy, powiedział w dramacie Wiktora Hugo, jeden stary hidalgos o młodej królowej hiszpańskiej, która wreszcie skłoniła go do złamania swój zasady:

„Dieu s'est fait homme, — soit; le diable s'est fait femme!

Radost uległ pokusie, i powiedział mężowi że żona potrzebuje pojechać do Ems; ale uczynił to tak niezgrabnie, że mąż w połowie tylko w chorobę żony uwierzył. Ale on kocha *Anielę*, i nie będzie skrypułizował w oszczędnościach, dla prostej wątpliwości która może być mylną. Lecz jeden z lokatorów do-

mu, którego on jest właścicielem, młody *Albin* także wybiera się do Ems. Mąż na tę wieść jakby piorunem rażony, pewnym jest że to zmowa z żoną przeciw jego honorowi. Pomieszczenie starego lekarza, gdy ten mówił mu o chorobie żony, utwierdza go w tem przekonaniu. *Radost* przyciśnięty do muru, w naiwności swój wyznaje mężowi grzech którego się dopuścił pierwszy raz w życiu. To rozdrażnionego *Leona* jeszcze większą przejmuje pewnością, że żona umówiła się z *Albinem*, przy świadomem współdziałaniu lekarza. Ztąd powstaje gwałtowna scena, która ustaje dopiero, kiedy *Albin* niechęć wymawia się z tem, że chce wyjechać do Ems za bogatą narzeczoną na której posag już oddawna poluje. Oczywiście że po tem wszystkim następuje pojednanie, i *Aniela* rozweselona tem że męża złapała na gorącym uczynku zazdrości, z chęcią pozostaje w kraju.

Jakkolwiek ten spiszek przeciw mężowi niepięknie determinuje charakter *Anieli*, jednakże zamknawszy na to oczy, nie możemy nie przyznać że sztuka oparta jest na doskonałej intrydze, że każda z wprowadzonych w nią czterech osób, ma znaczenie sama przez się jak osobny ton w kwartecie, że nareszcie prowadzenie sceniczne i cały mechanizm dramatyczny nie pozostawia do życzenia. Sceny następują po sobie w sposób prosty i logiczny, o ile logiki od farsy salonowej żądać można; sytuacje stawiają się sprytnie i rozwiązanie jest łatwe. Słowem, jest to sztuka którejby się nie powstydzili żaden z tego rodzaju pisarzy francuzkich, objawiająca wiele zdolności, wprawy i doświadczenia, jakiego po początkującym a zwłaszcza tak młodym autorze ani przypuszczać można. Różni się ona mianowicie tam od powszechności naszych tego rodzaju sztuk oryginalnych, że gdy te, lubo często poetyczniejsze, bieglejsze w słowie, wloką się deklamacyjnie lub giną w morałach, *Wycieczka za granicę* tymczasem odznacza się wprost faktami, ruchem i werwą, dzięki którym to przymiotom tylko z wyrobami francuzkimi porównać ją można: rzeklibyśmy nawet, że jest wskrós francuzką co do wszystkich cech swoich, tak ujemnych, (fałsze niby poczciwych ludzi), jako i dodatnich; tak co do treści, jako i wykonania. To jednak nie ujmuje jej bynajmniej oryginalności, skoro taka jaką jest powstała w umyśle autora, wykształconego snadź na francuzkich wzorach.

Wykonanie jej sceniczne należy do najszcześniejszych. Pani *Bakałowiczowa* czarowała nas swą gracją, śmiechem i płaczem. P. *Swieszewski*, w roli męża umiał być doskonale zazdrosnym i szczerą budził wesołość postępowania swem z *Albinem*, który za sprawą p. *Szymanowskiego* nader zabawnie wyglądał pod wrażeniami syjących się nań nieporozumień i burzliwych uniesień zazdrosnego męża. P. *Grzywiński* sumiennie i naturalnie wywiązał się z roli komicznie naiwnego lekarza, który sam nie wiedząc jak zaplątał się w złą sprawę i wielce był rad jak się z niej wydobył. X.

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH
w Warszawie.

Gryglewski — Ruśkiewicz — Mielnicki — Zdzisław
Suchodolski — Horowitz — Kostrzewski.

Kto pragnie bliżej poznać potęgę talentu, mającego w najbardziej martwy przedmiot wlać życie i urok poetycznego natchnienia, niech się uda na Wystawę obejrzyć obraz pana Gryglewskiego, przedstawiającego wnętrze bocznej nawy w której mieści się kaplica *Zygmuntowska* w katedralnym kościele na Wawelu. Pominawszy już wyborną perspektywę, która w architektonicznych pracach nie jest tak trudna jak się wydaje z pozoru, koloryt i sumienność w wykonaniu prawie nic nie przedstawiają do życzenia. Patrzącemu zda się być przeniesionym jakąś czarodziejską siłą w poważne mury tej starożytniej świątyni, widzi nie płótno ale ściany marmurem wyłożone, kamienne gzymsy i sklepienia, blask przyćmiiony brązowych ozdób a przedewszystkiem czuje ciszę w pośród której duch zamarych wieków błaka się zadumany. Na pierwszym planie obrazu stoi posąg *Potockiego* wykuty z marmuru dłuitem *Thorwaldsena*, naprzeciw niego widać wejście do kaplicy. *Mistrzowska* to prawdziwie praca, nie po-

minięto w niej najmniejszego drobiazgu, nie zapomniano nawet o rysach na sklepieniu i gdyby już konieczne szło o wytknięcie jakiej niedokładności, to by jej chyba należało szukać w kolorystyce posagu Potockiego, nie dość może wiernie marmur przedstawiającego.

Pana Ruskiwicza dwa widoki, przedstawiające ruiny zamku Kazanowskiego i brzeg lasu w porze zimowej należą do lepszych prac tego zdolnego i sumiennego artysty. W ruinach, gruz i zniszczenie: narożniki wyszczerbione, ściana tylna chyląca się, z okien pozostały tylko dziury nieforemne, a dzikie zielsko porasta wszędzie, po nad którym unosi się gromada ptastwa jedynych dziś mieszkańców tej pańskiej niegdyś siedziby. W wodzie otaczającej ją, odzwierciedlają się pozostałe szczątki martwe, nieruchome którym nawet nie przypatrują się dwie wieśniaczki piorące przy przeciwnym brzegu. Dalej widać skały wiejskie skromną swoją budową wybornie harmonizujące z główną treścią obrazu.

W drugim: Brzeg lasu, wije się droga a na niej mostek przez strumień zarzucony.

Święty lodem, porysowany, zarzucony gałęziami, sklni się jednak ale barwą ciemną zwykle na bagniskach spotykana. Nie wiemy czy artysta z natury widok ten malował, czy też w części posługiwał się i fantazją, w każdym razie ugrupowanie drzew, poleżane z nich szczątki, świerki obciążone nasypem śnieżnym, bardzo naturalnie i malowniczo oddane. Koloryt w obudwu tych obrazkach o wiele przewyższa inne prace p. Ruskiwicza: oświetlenie na jednym zimowe, na drugim letnie, dobrze w różnicach swych uwydatnione.

Pana Mielnickiego portret świętej pamięci artysty Józefa Simlera w naturalnej prawie postaci malowany z fotografii, należy także do lepszych prac tego utalentowanego artysty. Podobieństwo w nim wielkie, koloryt delikatniejszy jak w innych, rysunek dobry bez zarzutu. Widoczne ołówkiem i pędzlem artysty kierowało prawdziwe zamilowanie przedmiotu nieraz bratające się z natchnieniem, które przy portretach z natury zdejmowanych ustępować często musi pierwszeństwa wymaganiom.

O panu Zdzisławie Suchodolskim pierwszy raz mówimy w naszych sprawozdaniach. Jest to artysta bardzo utalentowany, obiecujący wiele, szkoda tylko że oddalony od kraju prace swe poświęca przedmiotom cudzoziemskim, które jako obce dla nas nie mogą być sądzone z całą dokładnością odebranego wrażenia. Kolorytu nieba włoskiego nie znamy, łamanie się także światła o przedmiota które oświetla jest nam obce, jakże więc sądzić rzecz znaną nie w naturze ale tylko w malarskim odtworzeniu.

Jeden z obrazów przedstawia praczkę przy cysternie po za niemi wznosi się wzgórze jakby zwirkowane którego oddalenie nie jest należycie odznaczone. Cyster-na murowana ze śladami wszystkiego niszczonego czasu, przy niej dwie kobiety, dalej prządka, na boku gołębie, w głębi znowu dwie kobiety rozwieszające upraną bieliznę a na boku drzewo pomarańczowe, którego dojrzwiałe owoce przeglądają pomiędzy liśćmi. Drugi przedstawia jakąś wystawę okrytą dzikim winem, pod którą kilkunastu królików w różnych postawach chrupie porzucone im na strawę liście. Środkiem idzie dziewczę młode, zdaje się że wieśniaczka bo na bosaka, bardzo podobne do naszych wiejskich dziewczuch. Wystawa jak powiedzieliśmy jest oceniona dzikim winem, przez rzadsze jednak splecienie gałązek, przeglądają promienie słońca, cień więc od nich pada na ścianę. Takie odwzorowanie gry światła z cieniem bardzo jest malownicze, ale tu cień zdaje się być nie uwydatnionym jak należy. Niedokładność ta odznacza cały obraz i dla tego przedzierające się światło za mało ma blasku, a wnętrza za mało przyciemnienia. W obudwu jednak obrazkach w postaciach je zapewniających mieści się wiele życia i naturalności.

Do malowideł stanowiących prawdziwą ozdobę Wystawy, policzyć śmiało należy obraz p. Horowitza przedstawiający lichwiarke, trzymająca kota na kolanach i w nachylonej postawie licząc na dłoni pieniądze. Głowa szczególnie kobiety, włosy wymykające się z pod czepca, ręce wiekiem pomarszczone, kot na pół drzemający wystudjowane są z takim talentem i dokładnością, że im najwięcej wymagający nie zarzuć nie zdoła. W otoczeniu widnieją pewne braki

z jakimi w pracach p. Horowitza nie zwykliśmy się spotykać.

Pokątny doradca p. Kostrzewskiego jak zwykle zaleca się humorem i prawdą nigdy go nie odstępującami. W izbie karczemnej za stołem siedzi ów burzyciel spokojności i pisze zawzięcie, krogulecznym swym nosem prawie dotykając się papieru. Obok stoi włościanin z ręką przy twarzy, zadumany i jakiś frasobliwy. Zapewne uległ namowicie zaniechania skargi a teraz po niewczasie rachuje zyski i straty jakie go z tego czekają. Ale stało się, klamka zapadła, doradcy tak czy owak zapłacić trzeba, co prędzej więc niepodobna. Smutnie zatem pogląda na piszącego i tak energicznie zajętego swą czynnością, że nawet nie zważa na młodą dziewczętkę wiejską podającą kwartę z trunkiem. Jakkolwiek stosownie do tytułu, jest to postać podrzędna, artysta jednak oddał ją w całej naiwnej prostocie pociągającej i ujmującej zarazem. Zarumieniona stoi trwożna, nieśmiała, z kwarty trunku przelewa się a ona ze spuszczonej oczami sama nie wie co zrobić, czy uciec czy rozpłakać się. Oto jest treść obrazku, prosta i zwyczajna, zestawiająca jednak wybitne charaktery chystrości, prostoty i naiwności.

O UBIORACH.

Najwięcej dziś sukien daje się widzieć w dwóch kolorach, a przynajmniej w dwóch odcieniach jednego koloru. Suknie i kostiumy czarne, mieszają najczęściej z fioletowym kolorem.

Opiszemy tu model podobnego kostiumu, z magazynu pani Kuhnke. Przód z materji fioletowej, ma u dołu trzy wązkie falbanki. Od boków idą bryty czarne, odwinęte z obu stron, podbite na odwinięciu fioletową materją. Z tyłu środkowy bryt zupełnie gładki, dwa boczne przymarszczone w poprzek, przez co bufują się na biodrach. Karoczek w formie wielkiego wachlarza, zastępuje w tyle kokardę. Stanik czarny, z odwinętymi fioletkowymi kłapkami. Rękawy zakończone od łokcia szeroką czarną falbaną, z pod której spada druga fioletkowa. Falbany wszystkie zaprasowane w faldy. Z pod czarnej spódniczki wygląda wązka falbanka z materji fioletowej. Śliczny ten kostium prawdziwie wiosenny, należy dziś do najmodniejszych. Kapelusik do niego powinien być czarny koronkowy, przybrany fioletkami lub błem ciemno lilla.

Inny kostium także wizytowy z poult de soie w kolorze Hawanna, ma spódnicę wyciętą w kolo w pięć ogromnych zębów. Przestrzenie wśród tych zębów zapelnione wązkiemi falbankami. Na zębach naszyta plisa akşamitna, w ciemniejszym odcieniu. Na to spada tunika z fartaszkiem zaokrąglonym po bokach, przybrana falbanką i akşamitną plisą. Paletocik tworzy z tyłu trzy kłapki przechodzące poniżej stanu, garnirowane stosownie; po przodach spadają dwie kłapki.

Trzeci kostium z lekkiej tkaniny szaręj (écru) ma przód spódnicy zupełnie gładki. Od boków przez tył idzie wolant zaprasowany w faldy przytwierdzony ciemniejszą plisą. Tunika burowana, przybrana falbanką. Paletocik do figury, z przodu zaokrąglony jak zuawka, z tyłu przedłużony jak fracek. W kolo idzie falbanka, a na niej plisa ciemna. Rękawy z szerokim wolantem.

Dzisiejsze suknie i kostiumy, ze stanikiem najczęściej odwijającym się na przodzie, z szerokimi rękawami wymagają pięknych kołnierzyków i rękawków.

Uważaliśmy między innymi kołnierzyk muslinowy, w tyle stojący, ogarniowany w górę walansienką, po bokach odwinęte kłapy, złożone z haftowanych wstawek i walansienki. Rękawki odpowiednie.

Drugi kołnierzyk muslinowy, ułożony w trzy plisy, przepinany wstawką w odstępach, zakończony z przodu czworograniastą, z tyłu otwartą. W kolo koronka Bruges w nowym zupełnie rodzaju. Z tyłu na rozcięciu kokarda z czarnej akşamitki, z przodu druga także kokarda. Rękawki przybrane koronką, ozdobione kokardkami.

Trzeci kołnierzyk Marie Antoinette, muslinowy faldowany w kształcie chusteczki, ogarniowany koronką Bruges, z tyłu rozcięty i przybrany kokardką, z przodu ma końce przerzucone.

Z kołnierzyków codziennych najczęściej używane gładkie płócienne, z tyłu stojące, po bokach odwinęte, cokolwiek przedłużone do otwartych sukien.

Z pomiędzy ubiorów na głowę, zwrócił uwagę nasz czarny koronkowy w kształcie chusteczki. Nad czołem wysoki diadem koronkowy, podpity zieloną kokardą w nowem odcieniu. W tyle za diademem spada także kokarda z długimi końcami.

Inny ubiórek także czarny, przybrany wysoko koronką i kokardą gros grains, ma końce z namarszczonej koronki, przytwierdzone na piersiach kokardą. Ładny to bardzo stroik do teatru, można go jeszcze ozdobić różą lub innym kwiatem.

Mniej strojne czepeczki blondynowe, ubierane po większej części gazową wstążeczką wąską na palec, w rozmaite sztuczne pukielki. Czepeczki te z lilla wstążką przeslicznie wyglądają. Niektóre z nich, przeznaczone dla młodych mężatek, pokrywają jak gniazdeczko sam tylko środek głowy.

Na uzupełnienie sprawozdania naszego oglądaliśmy jeszcze parasolki w magazynie p. Hoffert przy Senatorskiej ulicy. Na ten rok niewielkie parasolki tak zwane kostiumowe będą w użyciu, nieoszacowane jednak en tout cas zawsze są poszukiwane przez osoby praktyczne i pewną ogledność w toalecie swojej zachowujące. Kolor na parasolki to wyłączna rzecz gustu, wykwintne eleganterki stosują parasolki do koloru całego ubrania, osoby mniej strojem zajęte kupują je w barwach ciemnych, ażeby lepiej zastosować się dały do sukni lub pokrywają czarną koronką, białą materją, co także parasolkę wielką praktycznością zaleca. Kostiumowe parasolki z dobrej materji podszytej fularem są od 6 rs. jeżeli zaś kilka falbanek ubranie stanowi lub rogowa rączka misterniejszej roboty do 10 rs. dochodzą. Noszą także parasolki z mory i atlasu oszyte frendzlą. Większe tak zwane: en tout cas z gładkiej dobrej materji dokładnie odrobione kosztują od 4 rs. do 9 z dubeltowego jedwabiu od 5 do 11 rs. Parasolki koronką kryte od 10 rs. do 15 rs. wynoszą, zależy to od gatunku koronki, pokrycie stanowiącej.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Móżdżek cielęcy w muszlach.

Móżdżek ugotować w wodzie z solą, wybrać łyżką aby był w kawałkach bez żył, dodać miedzka i amorettek ugotowanych i usiekanych, wbić w to jajko całe, wlać masła sporo, serdeli usiekanych, pieprzu tłuczonego, wcisnąć cytrynę, kwiatu muszkatołowego, wymieszać razem i nakładać muszle lub skorupki od ostrzyg smarowane młodym masłem nietopionem.

Poukładać na blasze i w piecyk wstawić na kwadrans.

Przy wydawaniu na stół po zupie, kładzie się na wierzch każdej skorupki buleczka tarta zrumieniona w maśle.

M. J.

Korespondencja.

Pani Helenie Soko. Do kupna okrycia czarnego dołożyliśmy kop. 45.

Pani I. Ruli. Plecionki do rotienia koronek Irlandzkich, nadejdą za trzy tygodnie do magazynu P. Zanders.

Sprawunek ten wysłemy zaraz.

Pani Walerji M. Kapelus o jaki pisano, może być za rs. 6. Opłata pocztowa i opakowanie wyniesie rs. 1. Kostium wełniany z toile de laine elegancko przybrany kosztuje rs. 27.

Pani Mice. Za opłatę pocztową poślanych form, należy się kop. 15.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemickiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

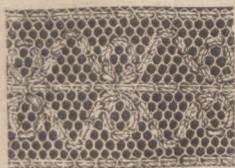
N. 1 — 7. Neseser podróżny.

Materiał: Popielata amerykańska skóra, sukno i kaszmir pasowy, kawalek czarnego i białego aksamitu, jedwab lub kordonki w różnych kolorach, pasowa i czarna wełniana plecionka, czarne lawowe guziczki, także płaskie paciorki, tektura i cieniutkie deseczki.

Wszelkie niezbędne przyrządy toaletowe, jako też przybory do szycia i podręcznego kobiecego użytku mieszczą się w tem zręcznie urządzone, na dwie strony otwieraniem pudełka.

Środkowa część ze sztywnej tektury, oklejona popielatą amerykańską skórą i opatrzona z jednej strony przegródkami z drugiej kieszonkami, tak co do uklejenia jak i połączenia z przykrywkami, wymaga ręki zręcznej i biegłej w podobnych robotach. Osobom mniej wprawnaem potrzebną będzie pomoc introligatora.

Dwie deki i boczne ścianki neseseru do pasowane są z cieniutkich deseczek, oklejone z wierzchu skórą amerykańską, wewnątrz sukniem pasowym. Na jednej dece medaljon z sukna pasowego ma w środku owal



N. 9. Wstawka do kołnierzyka N. 8. Wyszyte na tiulu.

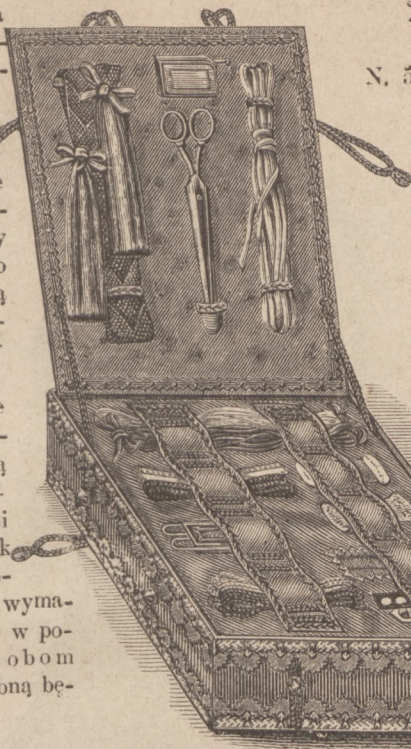
N. 7 podaje desę w naturalnej wielkości; dobór kolorów własny gust dobry poda najlepiej. Brzegi medaljonów otacza się czarną ząbkowaną plecionką, jedwabiem złotego koloru i przyczepia ścięciem długim do amerykańskiej skóry. Poki skórą oklejone przyozdabia sukienki w ząbki wycinany i haftowany szlaczek, którego wzór podaje N. 5.

Środkowa część pudełka z jednej strony opatrzona jest w kieszonki sukienne rozmaitej wielkości, przyszywane koloro-

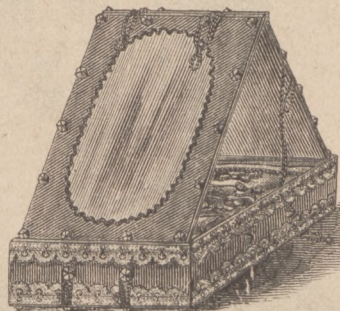
wemi jedwabiami ścięciem łańcuszkowym i zakończone wązintką pasową plecionką. W kieszonkach tych mieści się grzebień, szczoteczka do włosów, mydło, gąbka, pomada, a w bocznych stronach szczoteczki: do zębów i paznokci.



N. 5. Szlaczek ozdabiający z wierzchu neseser do N. 1—4.



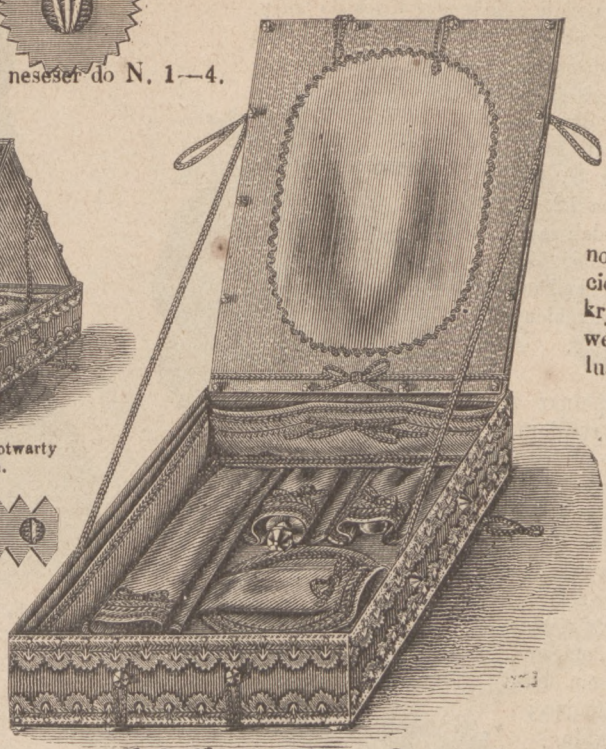
N. 2. Neseser podróżny. Otwarty od strony przyborów do szycia.



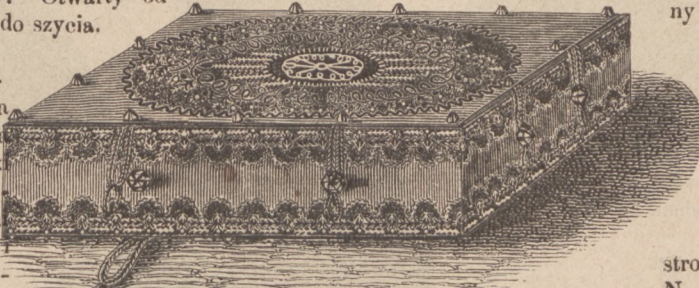
N. 4. Neseser podróżny otwarty z lustrem stojącym.



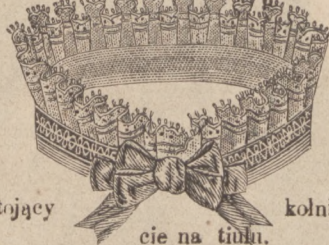
N. 6. Szlaczek ozdabiający neseser w środku.



N. 3. Neseser podróżny. Otwarty od strony przyborów toaletowych.



N. 1. Neseser podróżny. (Zamknięty).



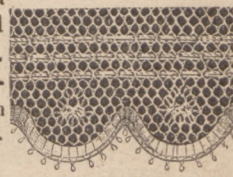
N. 8. Stojący kołnierzyk. Wyszyte na tiulu.

Przeciwna zaś strona przeznaczona na przybory do szycia ma ścięciem przewłóconymi łańcuszkowym naszyte przegródki z sukna pasowego. a w tych mieszczą się: nici, jedwab, śpilki pojedyncze i podwójne, igły i t. p.

Oprócz tego deka neseseru jest od strony wewnętrznej podbita wataną kaszmierną pasową, a w tym urządzone miejsce na nożyczki, tasiemki i plecionki jedwabne. W pokrywie od strony toaletowej jest przymocowane lustro w ten sposób, iż za pomocą przytrzymujących plecionek może być jako stojące urządzone. Wszytke pojedyncze części neseseru mają w deseczkach i tekturze stanowiących podstawę, gęsto przewiercone, drobne dziurki za pomocą których mocno łączą się z sobą, a na złączeniach z wierzchu mocują się guziczki.

Ażeby wykonanie dokładniej wyjaśnić, podajemy pod N. 1. Neseser zamknięty na guziczki i pętelki ze sznureczka. Pod

N. 2. Neseser otwarty od strony z przyborami do szycia. N. 3. Neseser otwarty z przyrządami toaletowymi i lustrem złożonym. N. 4. Neseser otwarty z lustrem stojącym.



N. 10. Ząbki do kołnierzyka N. 8. Wyszyte na tiulu.

N. 8 — 10. Kołnierzyk stojący.

Dwa cent. szeroka wstawka walansienki, lub podług N. 9 płaskimi niemi ręcznie cerowana, podłożona wstążką kolorową w atlasie, stanowi kołnierzyk stojący wszyty w podwójny pasek tiulu. Stojąca fryzeczka ułożona z tiulu 2 cent. szerokiego, u góry 3 razy płaskimi niemi przewłóconego i oszytego brzękiem walansienki lub z imitacji odrobionej podług N. 10. Korkarda z końcami ze

wstążki zakończa kołnierzyk.

N. 11—13. Róża z atlasu do włosów lub kołnierzyka.

N. 7. Medaljon ozdabiający wierzeh neseseru. Aplikacja.

Wśród różnych kokard i rozet tak powszechnie dziś używanych, świeżością pomysłu i układu odznacza się





N. 19. Berta z bułek podłużnych przepinana kokardami.

sukni, z przodu w długi ząb wyciętej, naszywają się dwie wązkie bufy marszczone, środkiem w pewnych ołstepach kokardka ni ze wstążki atłasowej $\frac{3}{4}$ cent. szerokiej przepinane.

W górze oszyć trzeba bertę dwoma rzędami koroneczki, z których niższy jest wstążeczką atłasową podłożony. U dołu jedno oszycie z szerszej z nagłówkiem koroneczki, także wstążką podłożone, z pod tego wychodzi szeroka jedwabna frendzla. Na zakończeniu berty przypięta róża z listkami i kokarda z szerszej wstążki.

Na sukni z kolorowej jasnej materji, tunika tiulowa różami z boku przystrojona; kokardy i szarfy atłasowe w tym co suknia kolorze.

Jeżeli damy u dołu sukni garnirunek odpowiedni berte, także u dołu frendzlą zakończony, ubranie będzie nader strojne i świeże. Do toalety mniej strojnej z muszlinu lub gazy, można dać podwleczenie z fularu lub półbatystu kolorowego.

N. 20. Berta z bułek i ruloników atłasowych.

Na formie ze sztywnego tiulu, dobrze do figury dopasowanej, zarówno z tyłu jak z przodu, u góry prosto, u dołu w dwa okrągłe zęby wyciętej, układają się bufki z ilu-

zji lub tarlatanu rulonikami atłasowymi przedzielane. Wązka bufa także rulonikami objęta zakończy bertę u dołu i tworzy ramiączka. Górny wykrój otacza wązka blondynka, dolny szeroka. Kokardy ze wstążki dopełniają ubrania.

W tenże sam sposób ubrana suknia tarlatanowa biała, a na tej tunika i stanik z materji lub atlasu kolorowego prześlicznie wygląda. Suknia powłóczysta z ciężkiej materji może być bez żadnego przybrania u dołu.

N. 21 i 22. Ubrania ślubne.

Obie suknie mogą być zarówno odrobione z atlasu, pult de soie, jak też z lepszych materji, z tuniką z jedwabnego tiulu, gazy, tarlatanu lub nawet z cieniutkiego muszlinu.

N. 21. Suknia z tuniką wzdłuż przymarszczoną.

Gładka powłóczysta suknia z ciężkiej białej materji, ze stanikiem zapiętym pod szyję. Tunika z jedwabnego tiulu



N. 20. Berta z bułek poprzecznych i ruloników atłasowych.

na wszystkich szwach zmarszczona, w podłużne bufy układająca się. Na każdym przemarszczeniu u dołu kokarda z końcami z tej co suknia materji, przybrana falbaneczką i rulonikiem, jak to rysunek wskazuje. Stanik może być



N. 21. Suknia ślubna z tuniką wzdłuż marszczoną.

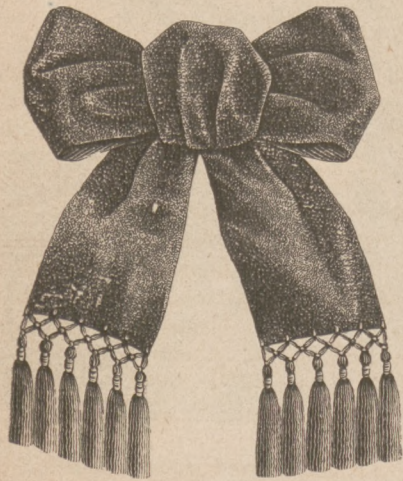


N. 22. Suknia ślubna z garnirunkiem z plis.

wycięty z przodu kwadratowo, à la Watteau, à l'antique, lub z podłużnym wykrojem. Szmizetka iluzjowa w podłużne bufy ułożona. Rękawy długie, puszczone. Wianeczek małeńki z długą z tyłu spadającą gałązką. Welon à la religieuse z iluzji.

N. 22. Suknia ślubna.

Powlóczysta jedwabna suknia z przodu plisami i gałązkami kwiatów mirtowych lub pomarańczowych przystrojona. Z boków wzdłuż spódnicy bufy iluzjowe blondyną oszyte i kwiatami przepinane. Rękawy obeiste. Stanik pod szyję z klapkami. Wianeczek okrągły; welon à la Rachel.



N. 25. Kokarda do kołnierzyka.

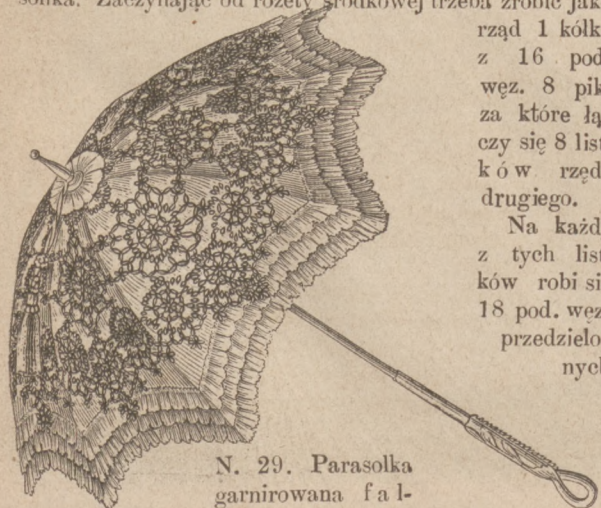
N. 26 i 27. Kokarda ze wstążki z końcami oszytymi, szlaczkiem cerowanym na tiulu i frywolitami.

Łatwą robotą szlaczku wskazuje bardzo dokładnie deseń N. 27 w naturalnej wielkości. Na czarnym tiulu dwa środkowe rzędy, cerują się czarnym kordonkowym jedwabiem, rzędy zaś brzeżne fioletowym. Potrzeba tylko uważać ażeby wszystkie rzędy zaczynać równo, aby ścięgi, jak na wzorze, szły odpowiednio. Pomiędzy podwójnym rzędem każdego koloru pozostaje jeden rząd oczek luźnych, które następnie przykrywa się krzyżkami; między pasem czarnym a fioletowymi nie pozostawia się rzędu oczek, tylko kolory dotykają się i są ścięgiem okrętkowym jedwabiem czarnym poszyte. Takimże ścięgiem zamocowują się brzeży tiulu i zarazem przyszywają pikoty. Frywolitki robione są dwiema nitkami czarnego jedwabiu. Każdy listek podłużny składa się z 12 pod. węz. i 3 p. ząbek zaś z 7 pod. węz. i 6 pikotów.

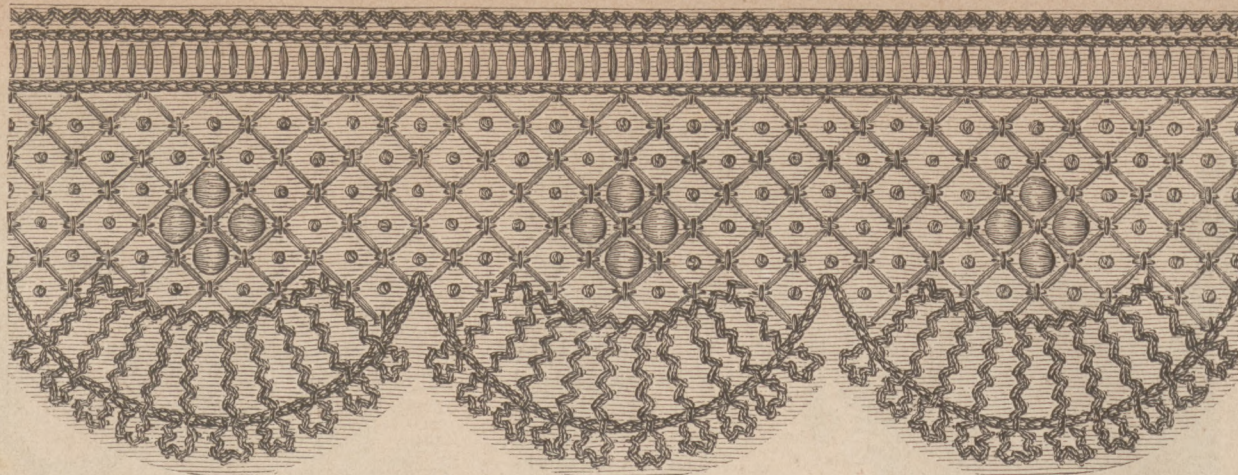
N. 28. Frywolitowe pokrycie na parasolik.

Robota jedną nitką.

Figura 28 podaje pokrycie frywolitkowe na parasolik pod N. 29. Pojedyncze rozety robione z czarnego najcieńszego jedwabiu spajane są podług formy jednej części parasolika. Zaczynając od rozety środkowej trzeba



N. 29. Parasolka garnirowana falbankami i frywolitowym pokryciem.



N. 23. Deseń na haft do kaftaniczka

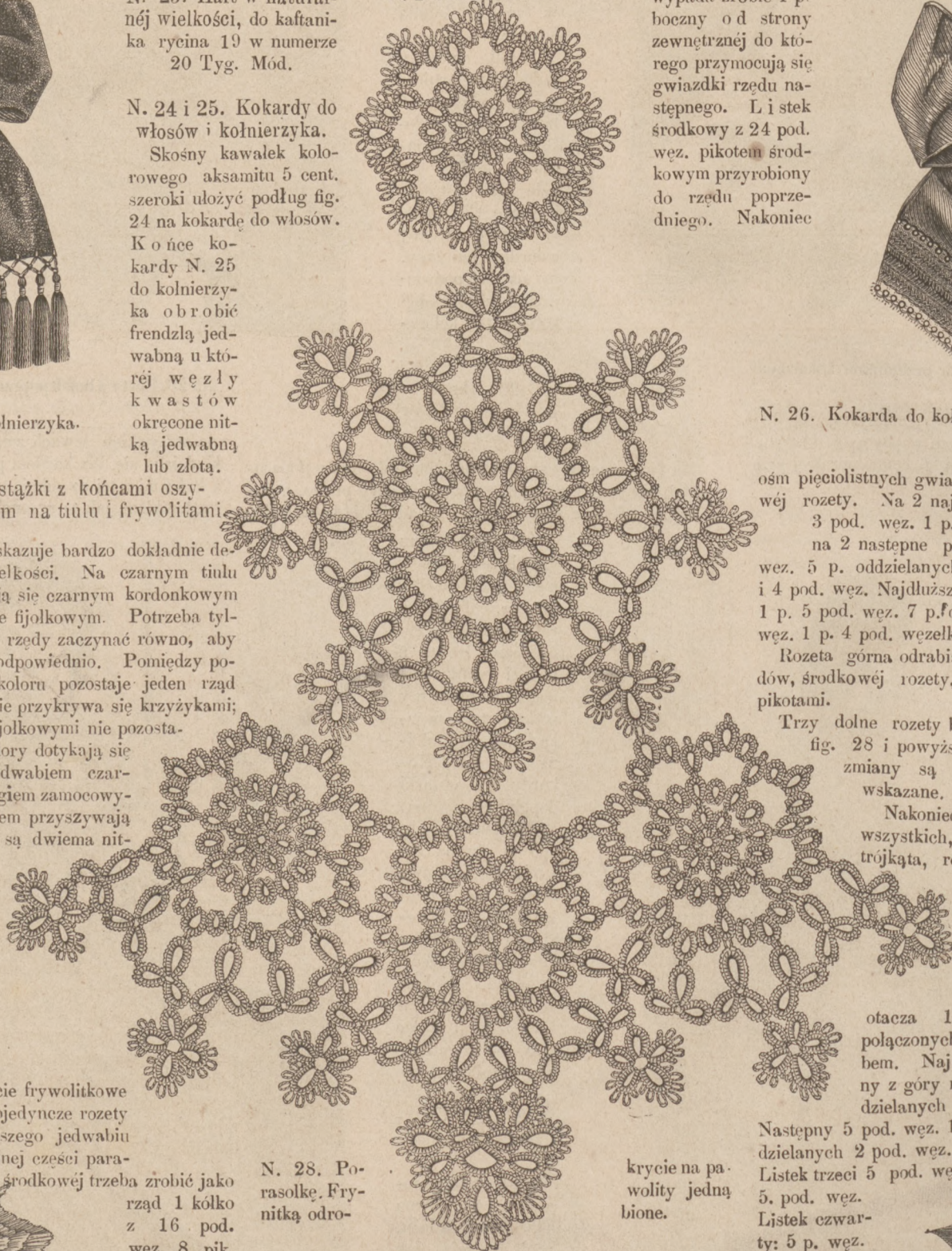
N. 23. Haft w naturalnej wielkości, do kaftaniczka rycina 19 w numerze 20 Tyg. Mód.

N. 24 i 25. Kokardy do włosów i kołnierzyka. Skośny kawałek kolorowego aksamitu 5 cent. szeroki ułożyć podług fig. 24 na kokardę do włosów.

Końce kokardy N. 25 do kołnierzyka obróbić frendzlą jedwabną u której węzły kwastów okręcone nitką jedwabną lub złotą.



N. 24. Kokarda do włosów.



N. 26. Kokarda do kołnierzyka ze szlakiem tiulowym.

ośm pięciolistnych gwiazdek stanowi rząd ostatni środkowej rozety. Na 2 najmniejsze listki robić 9 pod. 1 p. 3 pod. węz. 1 p. 4 pod. węz. 1 p. i 4 pod. węz.; na 2 następne potrzeba 4 pod. węz. 1 p. 4 pod.; węz. 5 p. oddzielanych 2 pod. węz. 4 pod. węz. 1 p. i 4 pod. węz. Najdłuższy listek środkowy ma 4 pod. węz. 1 p. 5 pod. węz. 7 p. oddzielanych 2 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. 4 pod. węz. 1 p.

Rozeta górna odrabia się podług 4 początkowych rzędów, środkowej rozety, tylko listki rzędu 4 przyozdobić pikotami.

Trzy dolne rozety bardzo łatwo czytelniczki podług fig. 28 i powyższego opisu odrobić potrafią, bo zmiany są bardzo widocznie na rysunku wskazane.

Nakoniec jedną dolną rozetę, odmienną od wszystkich, potrzeba zacząć od środkowego trójkąta, robiąc 6 pod. węz. 5 p. oddzielanych 5 pod. węz. 6 pod. węz. Dwa listki na d. trójkątem mają po 5 pod. węz. 4 p. oddzielone 5 pod. węz. i znów 5 pod. węz. 1 p.

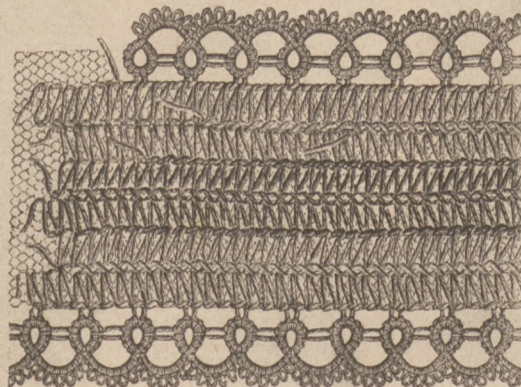
otacza 11 listków rozmaitej wielkości, połączonych wskazanym na rysunku sposobem. Najmniejszy z listków od prawej strony z góry ma 5 pod. węz. 8 krótkich p. oddzielanych 2 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. 10 p. oddzielanych 1 pod. węz. 5 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. 10 p. długich oddzielanych 1 p. węz. 1 p.

Następny 5 pod. węz. 1 p. 3 pod. węz. 9 krótkich p. oddzielanych 2 pod. węz. 3 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. Listek trzeci 5 pod. węz. 12 p. oddzielanych 2 pod. węz. 5. pod. węz. Listek czwarty: 5 p. węz. 10 p. oddzielanych 1 pod. węz. 5 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. 10 p. długich oddzielanych 1 p. węz. 1 p.

Listek piąty: 5 pod. węz. 10 p. długich oddzielanych 1 p. węz. 1 p.

Listek szósty: 5 pod. węz. 1 p. 2 pod. węz. 12 długich p. oddzielanych 1 pod. węz. 1 p. Następne 5 listków odrabiają się jak poprzednie tylko w przeciwnym porządku.

N. 28. Parasolka. Frywolitka odrobiona.



N. 27. Wyszycie szlaku do N. 26. Wielkość naturalna.

Rycina 19 w Tygodniku Mód N. 20.

nych pikotów mogła być zajęta i spodem zrobiona, ażeby weale widać jej nie było.

Rząd 5 stanowią listki o 3 owalach, z tych dwa owale dolne mają po 18 pod. węz. przedzielonych 1 p. w środku.

Co druga gałązka wypada zrobić 1 p. boczny od strony zewnętrznej do którego przymocują się gwiazdki rzędu następnego. Liść środkowy z 24 pod. węz. pikotem środkowym przyrobiony do rzędu poprzedniego. Nakoniec



N. 26. Kokarda do kołnierzyka ze szlakiem tiulowym.

ośm pięciolistnych gwiazdek stanowi rząd ostatni środkowej rozety. Na 2 najmniejsze listki robić 9 pod. 1 p. 3 pod. węz. 1 p. 4 pod. węz. 1 p. i 4 pod. węz.; na 2 następne potrzeba 4 pod. węz. 1 p. 4 pod.; węz. 5 p. oddzielanych 2 pod. węz. 4 pod. węz. 1 p. i 4 pod. węz. Najdłuższy listek środkowy ma 4 pod. węz. 1 p. 5 pod. węz. 7 p. oddzielanych 2 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. 4 pod. węz. 1 p.

Rozeta górna odrabia się podług 4 początkowych rzędów, środkowej rozety, tylko listki rzędu 4 przyozdobić pikotami.

Trzy dolne rozety bardzo łatwo czytelniczki podług fig. 28 i powyższego opisu odrobić potrafią, bo zmiany są bardzo widocznie na rysunku wskazane.

Nakoniec jedną dolną rozetę, odmienną od wszystkich, potrzeba zacząć od środkowego trójkąta, robiąc 6 pod. węz. 5 p. oddzielanych 5 pod. węz. 6 pod. węz. Dwa listki na d. trójkątem mają po 5 pod. węz. 4 p. oddzielone 5 pod. węz. i znów 5 pod. węz. 1 p.

otacza 11 listków rozmaitej wielkości, połączonych wskazanym na rysunku sposobem. Najmniejszy z listków od prawej strony z góry ma 5 pod. węz. 8 krótkich p. oddzielanych 2 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. 10 p. oddzielanych 1 pod. węz. 5 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. 10 p. długich oddzielanych 1 p. węz. 1 p.

Następny 5 pod. węz. 1 p. 3 pod. węz. 9 krótkich p. oddzielanych 2 pod. węz. 3 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. Listek trzeci 5 pod. węz. 12 p. oddzielanych 2 pod. węz. 5. pod. węz. Listek czwarty: 5 p. węz. 10 p. oddzielanych 1 pod. węz. 5 pod. węz. 5 pod. węz. 1 p. i 5 pod. węz. 10 p. długich oddzielanych 1 p. węz. 1 p.

Listek piąty: 5 pod. węz. 10 p. długich oddzielanych 1 p. węz. 1 p.

Listek szósty: 5 pod. węz. 1 p. 2 pod. węz. 12 długich p. oddzielanych 1 pod. węz. 1 p. Następne 5 listków odrabiają się jak poprzednie tylko w przeciwnym porządku.

Listek szósty: 5 pod. węz. 1 p. 2 pod. węz. 12 długich p. oddzielanych 1 pod. węz. 1 p. Następne 5 listków odrabiają się jak poprzednie tylko w przeciwnym porządku.

N. 30. Parasolka powleczona białym muslinem i szlakiem koronkowym.

Listek szósty: 5 pod. węz. 1 p. 2 pod. węz. 12 długich p. oddzielanych 1 pod. węz. 1 p. Następne 5 listków odrabiają się jak poprzednie tylko w przeciwnym porządku.